

Teodor Tomasz Jeż.

SZANDOR KOWACZ.

Dublet do

(S Z K I C)

Z. 12215



— —

3163

Z PRZEDMOWĄ

Piotra Chmielowskiego.

8024

$\frac{2}{2}$

A.

TOM II.



WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47

884-31: 884.09 Miłkowski Z.

R 49/71



149534/2

Дозволено Цензурою.

Варшава, 12 Августа 1898 года.



884-3

Wypis z katalogu

D-229/83

149535

VII.

Powiedzieć musimy, iż niesłusznem było starego Simicza do nowych huzarów uprzedzenie. Huzar węgierski przez wieki pozostał w gruncie jednym i tem samem. Zmieniły się okoliczności, zmieniły się stroje i rynsztunki wojskowe, zmieniła się taktyka lekkiej jazdy, ale huzar, jako postać typowa, chociaż zastosował się z konieczności rzeczy do nowych okoliczności, strojów, rynsztunków i taktyki, nie zmienił się jednakże w swojej, że tak powiem, istocie. Jak był przed wieki, tak ciągle pozostał modelem w narodzie. W każdym bowiem narodzie jest jakowaś uprzywilejowana modelowa postać, nadająca ton całości narodowej. Czem niegdyś we Francyi np. był markiz, czem w Anglii jest obecnie dżentleman, czem onego czasu był w Polsce szlachcic (ale ów szlachcic, który na zagrodzie równał się wojewodzie), tem na Węgrach pozostał huzar: typem społeczeństwa, wyrazem jego usposobień, charakterów, gustów.

Chociaż przeto wcielenie huzarów węgierskich do armii austriackiej stworzyło dla nich ojczyznę armijską i ojczyznę huzarską, typowość wszelako charakteru ich, po za temi dwiema ojczyznami,

zachowała dla nich jeszcze i trzecią, która w normalnym, pokojowym stanie państwowym, stała gdzieś w cieniu niewyraźnie, ale stała — ale huzar czuł w głębi serca, że on jest huzarem węgierskim. Pochodziło to stąd, że przeważnym żywiołem w huzarach byli Madiary i Słowacy. Przyczyniały się do tego także i tradycje, przymieszane do nazwiska. Przeważność żywiołu i tradycje oddziaływały w sposób nieprzyjazny przeciw wpływowi austriacko-wojskowej cechowości i w zwyczajnym stanie rzeczy, huzar był żołnierzem austriackim, ale przytem huzarem... węgierskim; to jest, że Austria szablą jego posługiwać się mogła przeciwko całemu światu, tylko — nie przeciwko Węgrom. Drobną ilość obcych żywiołów, jakimi byli Niemcy w korpusie oficerskim i tacy zaronieni Simicze w szeregach, nie rozumiała tej węgierskości huzarów i brała ją w znaczeniu odrębności ojczyznowej. Pozornie miała ona rację. W pokoju i we wszystkich wojnach, jakie Austria od czasu przyłączenia korony węgierskiej prowadziła, huzary oddawały jej znakomite usługi na równi z innymi bronią i nic nie zapowiadało, aby usług tych nadal i zawsze nie mieli oddawać. W nadzwyczajnym jednakże stanie rzeczy pokazało się inaczej. Poruszenie węgierskie przesortowało ich na żywioły: żywioł postronny odpadł, a prawdziwy huzarski stanął pod jego sztandarami. Huzary zrzuciły z siebie charakter austriackiego wojska, to przedzierając się do Węgier ze wszystkich krańców cesarstwa, to oddając się pod dowództwo cywilnych częstokroć naczelników, którzy z książeczek nimi komenderowali, na czem srodze ich ambicya wojskowa cierpiała. Na nic

jednakże nie zważali — starzy, regularni żołnierze biegli pod sztandary węgierskie, nie pytając się, co one z nich zrobią i czy potrafią ich użyć stosownie.

Przychodzi mi na myśl jeden wypadek, zaszły podczas wojny węgierskiej, który dobrze charakteryzuje węgierskość huzarów. Pewien huzar, stojąc na wedecie, ujętym został przez podjazd austriacki i stawionym przed generałem. Generał był niegdyś pułkownikiem huzarskim i dowodził tym właśnie pułkiem, w którym jeniec służył, i nadto jeniec ów był faworytem generała, który poznał go odrazu, gdy ten został przed nim stawionym. Generał S... znany był ze względnego traktowania Węgrów w ogólności, a jeńców wojennych w szczególności. Pomiędzy nim przeto a jeńcem odbyła się rozmowa, której sensem, w ustach generała, było cesarowskie: „*et tu Brute, contra me!*“ Huzar rozczulił się, rozrzewnił, objawił żal głęboki za postępowanie swoje, i generał, któremu wydało się, że ujął huzara, kazał mu pozostać przy sobie i odesłał do swoich furgonów, kazawszy — rozumie się — konia jego i uzbrojenie zabrać dla cheveaulegerów.

Przy furgonach generalskich huzar stał się zupełnie wolnym. Mogłoby nie uciec, lecz odejść, kiedyby mu się spodobało, bo nikt za nim nie naglądał, ale nie uciekał, ani odchodził. Przez parotygodniowy przeciąg czasu generał spotykał go często i za każdym spotkaniem, jeżeli nie zatrzymał się dla pomówienia z nim kilku słów, to przynajmniej pozdrowił go skinieniem głowy.

— Jak się masz? — zapytał go razu pewnego generał.

— Dobrze, wasza ekscelencyo — odparł huzar — ale...

Wielce zafrasowana mina, z którą huzar wymawiał „ale“, nie uszła uwagi generała.

— Cóż to za „ale!“ — rzekł — na czemże ci brakuje?...

— Serce mi się kraje...

— Od czegoż to? — zapytał generał.

— Od tego, wasza ekscelencyo — odparł huzar z wyrazem boleści w głosie — że mój koń ponieważ ra się...

— Cóż mu się stało?...

— Nie umięją na nim jeździć... Biedny koń!... — tu huzar otarł łzy dłonią. — Nie umięją jeździć!... Zbawia konia!... Jeżeli wasza ekscelencya nie każe mi go oddać, to on zginie marnie... Ja go sam ujeździłem dla siebie i nikt inny nie potrafi na nim jeździć...

Generał, znający przywiązanie Węgrów do koni i chcąc zapewne do reszty ująć sobie huzara, zaczął mu oddać konia. Huzar nie posiadał się z radości, a wdzięczność jego była, zdawało się, bez granic. Koń jego, skutkiem trudów wojennych, był rzeczywiście schudzionym i zbiedzonym; więc zajął się on nim szczerze i w krótkim czasie odczyścił go i odkarmił i w marszach konno towarzyszył furgonom korpusu, dowodzonego przez generała, u którego, takim samym sposobem jak konia, wyprosił i pałasz i pistolety, wytłómaczywszy mu, iż hańbą jest dla huzara siedzieć bez broni na koniu. Lecz odkarmiwszy konia i dostawszy broń swoją, o nic już więcej nie prosił. W jednej z potyczek wyjechał ze sztabem generała i zajrzawszy zdaleka kolumny węgier-

skie, wysunął się naprzód, pokłonił się generałowi, spiął konia ostrogami i przeszedł do swoich.

W owych czasach z zadziwiającą łatwością formowały się huzarskie pulki. Stare huzary służyły jako kadry, które zapełniały się nowymi zaciągami, rosnąc i wzmagając się nie dniami, lecz godzinami. Rekruci przerabiali się na żołnierzy czarodziejskim jakoby sposobem, jakby za dotknięciem owej różdżki, w którą podanie uzbraja czarnoksiężników. Dla każdego Węgra, aby zostać huzarem, zamiast przechodzić szkołę rekruta, szkołę ekwitacyi, szkołę plutonu i szkołę szwadronu, dostatecznem było wsiaść na koń przy pałaszu. Na koniu i przy pałaszu instynktownie Węgier stawał się huzarem.

A jak zadziwiającą była łatwość, z jaką huzary formowały się, tak niemniej godnym podziwienia był pewien rodzaj zaparcia się siebie, przez zrzeczenie się przez nich formalizmu, będącego — jak wiadomo — powszechną chorobą żołnierską. Huzarem nazywał się każdy kawalerzysta, bez względu na to, jak długo służył, ani — jak był ubranym, ani — jak wyglądał, ani — jak dalece znał szczegóły regulaminu. Stare szwadrony nie wyróżniały się od młodych, regularne od świeżo sformowanych, pomimo, że pierwsze miały cały pozór wojska, którem były rzeczywiście, drugie zaś przedstawiały wielką rozmaitość. Pomiedzy temi ostatnimi widzieć się dawała zbieranina i mieszanina. W umundurowaniu ich znać było dorywczość, w uzbrojeniu i umusztrowaniu — niedokładność, chociaż usiłowano, w szwadronach przy najmniej, zachować jednakowość i doprowadzono nawet do tego, że wiele nowo-uorganizowanych szwa-

dronów — jak np. tak zwane Lehel-huzary, Boczkaj-huzary i inne — niczem nie różniły się od starych, posiadały bowiem i ubranie i uzbrojenie przepisowe, siedziały na dzielnych koniach, w które obfituje krajna węgierska, i miały czas i sposobność wyrobić się. To też widziałeś jednych w piechotnych szaraczkowych płaszczach i w kapeluszach, drugich — w gu-niach różnobarwnych i kaszkietach, innych — w kożuchach bez rękawów, innych znów — w płóciennych spencerach, i przytem — jednych w opiętych, drugich w szerokich spodniach. Mundurem *Czikoszów*, zformowanych z pastuchów stadnin stepowych, była krótka koszula, sięgająca tylko do pasa, opatrzona długimi szerokimi rękawami i nie związana pod szyją. Dolną część ciała okrywały im szerokie spodnie, mające pozór spódnicy kobiecej, gdy huzar nie był na koniu. Głowę przykrywał czapka z zawiniętymi do góry kry-sami kapelusz węgierski, opasany szeroką z rozpuszczonymi końcami wstążką, za którą zatknięta była zielona gałązka, kwiatek, lub pawie albo kogucie pióro. Koszula nie chowała się pod pas od spodni, a rękawy musiały być zatoczone powyżej łokci i z tego powodu Czikosz w swoim mundurze — jeżeli nb. zimno nie zmusiło go do zarzucenia na siebie szerokiego a długiego kożucha — wyglądał wpół-nago, bo koszula przykrywała mu tylko kawałek grzbietu i ramiona, a reszta biustu, zczerniała na słońcu i wiatrach stepowych, nie była wcale przysłonięta. Czikosz uzbrojonym był w pałasz, jak każdy huzar — bez pałasza bowiem huzar nie miałby się za człowieka; — lecz najważniejszą usługę w jego ręku, jako zaczepna i odporna broń, oddawał mu długi batog, podobny do na-

szego harapnika, którym on władał tak, że w całym pędzie konia końcem onego uderzył, gdzie chciał. Broń ta w starciach się z nieprzyjacielem ogromnie okazała się dla tego ostatniego niebezpieczną, Czikosze bowiem wybijali nią oczy i umieli zręcznie obwijać batogami szyje przeciwników i ściągać ich z koni. Faktem jest, iż w paru potyczkach pobili oni batogami kirasyerów austriackich. — Huzarzy, zwani *Róza-Szandor*, byli ubrani w płócienne, pofarbowane na fioletowo spencery, w takież szerokie spodnie i w niskie, o wąskich denkach i o podniesionych daszkach czapeczki, a uzbrojenie stanowiły pałasze i pistolety. — W ogólności powiedzieć można, iż huzarów nie strój, ale pałasz i ostrogi cechowały i jednakowość rysztunku na konia, przyjętego przez Węgrów powszechnie, który składał się z munsztuka i przykrytej baraním czaprakiem terlicy.

Pozornie więc huzary dzieliły się na kilka rodzajów, a w istocie rzeczy na dwa: na starych, albo raczej regularnych, i na nowych, których praktyka bojowa przerobiła także na regularnych — gdyż różnica istotna, jaka w początkach zachodziła pomiędzy nimi, zatarła się z czasem i pod koniec wojny szeregi starych pułków zapelnily się taką samą młodzieżą, jaka zapelniała szeregi nowych.

Szandor zaciągnął się do jednego ze starych pułków i odrazu dostał się na teatr wojenny. Węgry podówczas w kilku naraz miejscach toczyli wojnę. W Siedmiogrodzie ucierali się z Wołochami, Sasami i cesarskimi wojskami. W Banacie mieli do czynienia z poddunajskimi słowianami. Na zachodniej granicy Węgier stawili czoło wkraczającym, dla

ostatecznego zadania im ciosu, korpusom austriackim. Na tym ostatnim teatrze znalazł się Szandor, wcielił on do szwadronu, jako szeregowy.

Przypomina sobie zapewne czytelnik, że Szandor werbującemu wachmistrzowi nie przyznał się do kowalskiego rzemiosła. Pochodziło to ztąd, że wiedział on, iż gdyby się przyznał, zostałby przydzielonym do kuźni szwadronowej i byłby zmuszonym odbywać służbę po za szeregiem. Służba taka nie uśmiechała się do niego bynajmniej. On zaciągnął się do wojska z intencją nałożenia w potrzebie głowy, nie zaś ćwiczenia się w kuciu koni. Na kowalach zresztą nigdy szwadronom węgierskim zabraknąć nie mogło, kowalstwo bowiem jest jednym z rzemiosł, któremu na Węgrzech najwięcej ludzi się oddaje. Został więc żołnierzem szeregowym i dostał mundur, pałasz, pistolety, konia, a nadto miejsce i numer w szwadronie.

Pomiędzy Szandorem-kowalem a Szandorem-huzarem mała w postawie zaszła odmiana. Madiary w ogólności mają to do siebie, że każdy z nich wydaje się huzarem, przebrany po cywilnemu. A że Szandor był Madiarem, przeto gdy ubrał się w opięte spodnie, wyszyte na szwach, i w botforty z ostrogami, gdy wdział na siebie dolman i mentyk, suto szamowane i natkane na piersiach szeregiem błyszczących guzików, gdy przypasał do boku pałasz, a na łeb włożył czerwone szako — zdawało się, że we właściwym swoim wystąpił stroju. Nic ujmować, ani nic dodawać nie trzeba było, aby mina jego była zupełnie huzarską; była ona bowiem taką naprzód, kiedy on jeszcze ani munduru, ani pałasza nie nosił; a jest

ona tą szczególną właściwością huzara węgierskiego, którą wszystkie na kuli ziemskiej huzary naśladowały, ale bezskutecznie. Dodać także należy, że Szandor był jednym z ładniejszych w szwadronie żołnierzy; strój bowiem malowniczy huzarski przypadł doskonale do jego męskiej postawy, uwydatniając i podnosząc jego przystojność; w postawie jego nie było ani śladu wymuszenia, ale jakoweś „od niechcenia,” cechujące zwykle pańskie maniery. Od niechcenia spływał mu dolman z lewego ramienia, od niechcenia włókił się za nim i pobrzękiwał pałasz, od niechcenia szako nasuwało się mu na czoło i fałdowało je w lekkie podłużne bruzdy, które rycerską marsowość jego oczom i obliczu nadawały. Z po za tej marsowości przeglądała tęsknica, wywołana zapewne wspomnieniami bliskiej, wczorajszej przeszłości, rozstaniem się z kochanką i opiekunami; a tęsknica ta tem była widniejsza, iż odbijała się na tle życia żołnierskiego, które w czasach wojennych szczególnie, zapełniając się ciągłym gwarem i ciągłym gwałtownym ruchem, niema czasu smucić się.

— Dlaczego ty wyglądasz, Szandor, tak, jakbyś się najkwaśniejszego octu napił? — zapytał go Lajos Kisz, który z nim razem zaciągnął się w Szegiedynie i dostawszy się do jednego z nim plutonu, wszedł razem z bohaterem naszym do jednej szóstki, stowarzyszonej w celu wzajemnej bojowej pomocy.

— Czyż ja mogę wyglądać, jak chcę?... — odparł Szandor. — Wyglądam tak, jak mnie Pan Bóg stworzył.

— O! nie!... — rzekł Lajos — inaczej wyglądałeś ty w Szegiedynie!... Wiem ja, że tobie Marijka

ćwiekiem w serce się wbiła... Było to dobre, póki nie byłeś huzarem... Ale... co huzarowi po Marijce!... Dla nas dziewczęta jak grzyby po deszczu wyrastają... Tysiące Marijek ściga za tobą oczami!...

Szandor nic towarzyszowi nie odpowiedział i miał pretekst do nieodpowiadania, kiedy i on i Szandor i wszyscy ich towarzysze zajętymi byli chędożeniem koni, stojących szeregami w obszernej stodole, zamienionej na stajnię dla całego szwadronu. Zamiast odpowiedzieć Lajosowi, zagadał Szandor do konia, który wierzgnał w tej chwili dlatego, że bohater nasz przypadkiem — a może i umyślnie, z przyciskiem skrobnał go zgrzeblem po słabiznie.

— No!... ho!... stój!... — wołał na konia i cmo-kając, począł go głaskać i dalej czyścić.

Działo się to w parę dni po bitwie pod Szwehat, w której, jak wiadomo, pobite na głowę węgierskie wojska, rozpoczęły trudny odwrót ku Pesztowi i Budzie, trudny dlatego, że wykonywanym był przez młodego żołnierza, pod kierunkiem niedoświadczonych wodzów, w porze roku najnieprzyjajniejszej dla operacyj wojskowych, bo w późnej jesieni. Był to najgorszej wróżby początek wojny z Austrią. Zwyczajka austriacka armia posuwała się naprzód ku stolicy węgierskiej. Węgierskie wojska cofały się pośpiesznie w porządku, którego wzorowym nazwać nie można. Żołnierz nie rozbiegał się wprawdzie, trzymał się on kupy w batalionach i szwadronach, ale przewodcy batalionów i szwadronów, albo odbierając niewłaściwie rozkazy, albo do właściwych nie umiając się zastosować, wymijali się, rozdzielali lub łączyli w marszu w sposób taki, z którego ani oni,

ani wyżsi wodzowie nie umieli sobie wyraźnej zdać sprawy. Można powiedzieć, że prowadził ich Bóg węgierski.

Szwadron, w którym znajdował się Szandor, był w bitwie pod Szwehat, ale nie wziął w niej czynnego udziału, to jest nie był nawet wystawionym na działanie artylerii nieprzyjacielskiej. Szandor widział bój zdaleka; widział dymy i polyski wystrzałów, słyszał huk dział, poświsty kul i szybkie szczebiotanie granatów, lecz bardziej jako widz i słuchacz, nie zaś jako uczestnik. Po bitwie szwadron, dzieląc los całego wojska, poszedł wstecz ku Pesztowi, a zostawszy odkomenderowanym dla podjazdu, czy rekonesansu, znalazł się na drugi dzień po bitwie odłączonym od armii i nieco oddalonym od głównego traktu, którym ta ostatnia maszerowała. Rotmistrz forsownym marszem usiłował złączyć się z głównym oddziałem, dla dopięcia czego potrzeba mu było bocznymi drogami dostać się na jej wysokość, nie mógł bowiem wychodzić na trakt z obawy, aby nie spotkać się z nieprzyjacielskimi kolumnami. Szedł więc dzień i noc i nadedniem wydało się mu, że jest już po za obrębem niebezpieczeństwa, że wyprzedził czoło kolumn austriackich. Zatrzymał się więc w pierwszej wiosce, jaką spotkał, dla wytchnienia koniom i ludziom znużonym tak, że dalsze maszerowanie, jeżeli niepodobnem, to bardzo trudnem już było i groziło zostawieniem na drodze połowy koni i ludzi.

Wioska, w której szwadron zatrzymał się, nie zasługiwała na tytuł wioski, ale raczej na nazwę folwarku gospodarskiego; składała się bowiem z kilku chałup i z zabudowań gospodarskich, położonych na

dolinie, otoczonej górami. Był to rzeczywiście folwark, należący do jednego z magnatów węgierskich. Postawienie w tem miejscu folwarku tego usprawiedliwiały wąwozy, które w liczbie czterech, czy pięciu wciskały się pomiędzy góry, formując żyzne doliny, uprawiane za pomocą najemników.

Pomiędzy zabudowaniami folwarcznymi najważniejszą rolę grała stodoła murowana i tak obszerna, że cały szwadron mógł się w niej wygodnie pomieścić tembardziej, że w tej chwili była prawie pusta. Skorzystał z tego rotmistrz i zatrzymawszy się w wiosce, zakomenderował szwadronowi „z koni!“, kazał otworzyć stodołę i ułokował w niej szwadron, dawszy czas pierwszej koniom wysapać się na dworze.

Kto nie odbywał wojny, ten wyobrażenia mieć nie może o wartości, jaką dla żołnierza ma taki spoczynek. Panowie w puchach sypiący nie wiecie, że wygodniejszą niż wasze edredony jest garść słomy w obozie, a pyszniejszym nad pałacę wydaje się lada dziurawe poddasze, które człowieka od wiatru i słoty zasłoni... Huzarzy w stodole znaleźli dach cały i słomy wbród. Na niczem więc im nie brakowało. Opatrzywszy konie, każdy z nich jak drzewo na słomę się zwałił i zachrapał.

Na folwarku było cicho i spokojnie. Przed wprowadzeniem szwadronu do stodoły rotmistrz rozmówił się z parobkami folwarcznymi, którzy wychodzili z chałup, i dowiedział się od nich, że oni o niczem nie wiedzą.

— Czy zachodziły tu Węgry? — pytał.

— Nie — odpowiedzieli parobcy.

— Czy widzieliście jakiego węgierskiego żołnierza?...

— Nie widzieliśmy ani jednego.

— Czy słyszeliście co o wojnie?

— Słyszeliśmy, ale nie wiemy, gdzie się ona toczy.

— A Niemców widzieliście?

— Nie widzieliśmy ani jednego.

Dla mieszkańców folwarku wojna jakby nie istniała; jakby Opatrzność umieściła ich niby na oazis szczęśliwym a ustronnem, które górami zasłoniła od burz wszelkich. Ta nieświadomość mieszkańców, w połączeniu z przekonaniem, że szwadron znajduje się na wysokości węgierskich wojsk, a zatem, że nieprzyjaciel nie może go dosięgnąć, wydały się rotmistrzowi dostateczną rękojmią bezpieczeństwa spoczynku. Pozwolił więc sobie zaniechać zwykłych środków ostrożności wojskowej i pomimo przekładań starego, znanego nam z werbunku szegedyńskiego wachmistrza, nie wystawił wedet, nie otoczył się strażą.

Nie dziw, że rotmistrz nie usłuchał przekładań wachmistrza. Wachmistrz był stary, a rotmistrz młody żołnierz. Młodzi zwykle niedowierzają starym, szczególnie, jeżeli chodzi o jakąwąś drobiazgowość wykonania. Stary nawet podczas pokoju, w przemarszu z miejsca na miejsce, uważałby za zbrodnię zaniechanie ostrożności przepisowych; młodemu zaś podczas wojny wydało się, że jednorazowe zaniechanie ujdzie.

Nie umiem z pewnością powiedzieć, czy rotmistrz dawał sam sobie zapytanie i taką odpowiedź, czyli też nie. Prawdopodobniej nie dawał, bo był

znużony i rozespany, i zaledwie wydał rozkazy i zsiadł z konia, natychmiast udał się do najbliższej kupy słomy, upadł na nią, poprawił się, wyciągnął i usnął. Toż samo uczynili wszyscy oficerowie szwadronowi i gdyby za ich przykładem poszedł był wachmistrz, nie wiadomo, co by się stało z opatrzeniem koni. Nie mogąc gniewać się na oficerów, spędził wachmistrz gniew na żołnierzach i z drobiazgową skrupulatnością dopilnował ustawienia koni, rozsiedlania, wytarcia im nóg słomianymi wiechciami i dania im siana i obroku, a gdy to ostatnie zostało spełnionem, zakomenderował:

— A teraz... spać!... — i zaklął ciężką klątwą.

Była to komenda nieregulaminowa, a wiedzieć należy, iż nasz wachmistrz miał wielki wstręt do wszystkiego, czego nie było w regulaminie wojskowym, dla niego bowiem regulamin był pod pewnym względem tem, czem dla Muzułmanina jest Koran: najwyższym wyrazem mądrości; i jak Muzułmanin pogardza wszelką mądrością nie wkluczoną w suraty, podyktowane prorokowi przez Ałlacha samego, tak wachmistrz pogardzał wszelkiem rozkazodawczem wyrażeniem, nie wkluczonem w paragrafy regulaminu. Dlatego to wydawszy komendę do spania i zakławszy, splunął, zaklął jeszcze raz i rzekł do siebie pod nosem:

— Otóż do czego to prowadził... Człowiek sam siebie dalej nie pozna!... Jedno zło prowadzi do drugiego... To inaczej być nie może!... Rotmistrz nie kazał rozstawić posterunków, a ja głupstwo powiedziałem!...

I przedrzeźniając sam siebie, powiedział półgłosem:

— A teraz... spać!... — i klął na czem świat stoi. — Ha!... to nieszczęście!... to z tego nic nie będzie!...

I obwinawszy się płaszczem, położył się na słomie, ale tak wielkiem było starego wachmistrza rozdrażnienie, że pomimo, iż był jak wszyscy inni znużonym, nie mógł zasnąć. Zamknął oczy, otulił płaszczem głowę, okrył nim twarz tak, że tylko nos czerwony sterczał z pod białego kołnierza, ale nie mógł snu przywołać. Przewrócił się więc kilka razy z jednego boku na drugi, kilka razy skurczył się, to wyciągnął i wstał, a przetarłszy oczy, niby po śnie, i rozglądziwszy miotły wąsów, zawołał głośno, pewny, że go nikt nie usłyszy, bo wszyscy oficerowie, podoficerowie i żołnierze spali jak zabici:

— Ani wedet, ani nawet sznurwachów!... Tfu?... Do dyabła taki porządek!...

Powiedziawszy to, wyprostował się, przestąpił z nogi na nogę, pociągnął mundur, poprawił pasek od pałasza, zapiął pasek na kruczek, pociągnął kilka długich haustów z maniery, chrząknął, splunął, rozglądził znów wąsy i począł przechadzać się pomiędzy szeregami koni, żujących spokojnie obrok z zawieszonych im na łbach torbach parcianych i poprychujących od czasu do czasu. Pełnił on tym sposobem służbę sznurwacha i czuwał za całym szwadronem, a dla rozrywki w samotności wydobył oprawną miotłę, w której pościelany mosiądz szemnicerkę, napełnił ją tytoniem z pęczkowego z kutasami kapciucha,



wykrzesał ognia i kurzył powoli. Wypalił jedną fajkę, nałożył drugą, wypalił drugą, nałożył trzecią, a ukończywszy trzecią, co nie odbyło się w przeciągu godziny, gdyż wysokiej szemnicerki nie można skończyć w kwadrans, ani we dwadzieścia minut, huknął na trębacza i dał mu rozkaz trąbić pobudkę. Odezwała się trąbka; żołnierze jeden po drugim poczęli podnosić się ze słomy. Jaki-taki kłął trąbę w duchu i oddałby pół życia za pół godziny snu jeszcze; ale nie było rady, bo co który otworzył oczy, to ujrzał groźną postać wachmistrza, który w milczeniu, założywszy na piersiach ręce po napoleońsku, stał obok trębacza, gotów skarcić surowo ociąganie się i opieszałość. Jedni tylko oficerowie, których granie trąbki rozbudziło także, pozostali na słomie, żołnierze zaś wstali wszyscy i wzięli się do chędożenia koni. Wówczas to nastąpiła powyżej przytoczona krótka pomiędzy Szandorem a Lajoszem rozmowa.

Podczas, gdy huzary zajęci byli chędożeniem koni, wachmistrz odchylił szerokie wrota stodoły, które (zapomniałem o tem na swoim miejscu wspomnieć) były zamknięte, i wysunawszy się na dwór, nałożył sobie czwartą fajkę i przechadzał się przed wrotami, chcąc zapewne orzeźwić się czystem a chłodnem powietrzem. Dzień był jasny; słońce zrobiło już bez mała ćwierć drogi na niebie i pełnym blaskiem oświeślało spadki gór, dolinę i działaniem słabego, zimowego ciepła zdejmowało ostatki szronu mroźnego, którym przez noc ubielila się ziemia, kamienie, chwasty i krzewy. Wachmistrz chodził zamysłony, a o czem on myślał, tego nie podejmuję

się opowiadać, dla tej prostej przyczyny, że nie wiem. To jednakże pewna, że nie myślał o otaczającej go przyrodzie, bo bardzo od niechcenia i prawie z pogardą rzucał niekiedy wzrokiem to na błękitne niebo, to na płowe szczyty gór, to na rozścielającą się przed wrotami stodoły dolinę, równą i gładką jak plac musztry, zamkniętą zachwycającymi górami i przerzniętą drogą, która gubiła się za zagięciem gór, na przestrzeni nie przechodzącej doniosłości strzału działowego. Obok drogi bieгло zawałone drobnymi kamykami płytkie łóżysko strumienia i sączyło zbierane wody górnych źródelek. Drogą tą, obok tego strumienia miał szwadron maszerować i dlatego może, po długiem, obojętnem a pobieżnem spoglądaniu na rozmaite przedmioty, raptem zwrócił na nią wachmistrz pilną uwagę, zatrzymał się i wlepił wzrok w punkt, w którym w głębi doliny gubił się on za górami. I oczy wachmistrza rozszerzały się stopniowo, jakby ze zdziwienia lub przerażenia. Postał przez chwilę, wpatrując się ciągle w ten sam punkt, i łypnawszy parę razy oczami, zmarszczył brwi i tyłem cofnął się do stodoły, a wszedłszy i zamknawszy wrota za sobą, stanął, spojrzał na trębacza, jakby chciał coś do niego przemówić, lecz zamiast do trębacza, krzyknął na żołnierzy:

— Siodłać konie... a żywo!... Ani słowa niech jeden do drugiego nie mówi!... i niech mi się żaden nie waży ani krokiem wyjść ze stodoły!...

Żołnierze rzucili się do koni, a wachmistrz przepisowym krokiem udał się do miejsca, w którym rotmistrz i oficerowie leżeli, a zatrzymawszy się przed nimi, począł chrząkać. I chrząkał raz poraz i coraz

głośniej, aż jeden z podporuczników otworzył oczy. Korzystając z tego, wachmistrz szybko podniósł palce do daszka od szako, salutując podporucznika, i jednym tchem wyraportował:

— Mam honor najpokorniej meldować, że idą Austriacy!...

Podporucznik, jak gdyby pod nim kto minę zapalił, zerwał się równemi nogami, a z nim razem rotmistrz i wszyscy oficerowie.

— Co?... — zawołał rotmistrz.

— Mam honor najpokorniej meldować, że idą Austriacy!... — powtórzył wachmistrz.

— Gdzie? — zapytał rotmistrz znowu z akcentem lekkiego przerażenia.

— Tam!... — odparł wachmistrz, pokazując palcem ku drzwiom i spuszczać rękę.

Rotmistrz ruszył do drzwi, poprzedzając oficerów i postępującego za nim wachmistrza i odchyliwszy drzwi o tyle, aby wyjrzeć przez nie, popatrzył po dolinie.

Cała dolina wpoprzek zajęta była podchodzącym ku stodołę powoli łańcuchem tyralierów, a za tym łańcuchem widzieć się dawały wynurzające się z za załomu gór kolumny piechoty. To było na drodze, którą potrzeba było manewrować, a z drugiej strony stodoły, na drodze, którą przemaszerował szwadron, to samo miało miejsce. Krótki rekonesans, zrobiony przez szczeliny przednich i tylnych wrót, przekonał, że i marsz naprzód i odwrót zostały odciętymi. Tyralierzy nieprzyjacielscy zbliżali się, a gdy zbliżali się na pewną odległość, odezwały się sygnały na bębnach, tyralierzy zbiegli się, sformo-

wali i wrócili do kolumn. Wszystkie te ich ruchy odbyły się na głośne komendy sygnałów. Widocznem było, że Austriacy wiedzą, z jaką siłą mają do czynienia i dokonawszy zastąpienia wychodów z przodu i z tyłu, nie uważają za potrzebne robić tajemnicy ze swojej obecności.

W fatalnem znalazł się szwadron położeniu. Trzy głębokie, ścieśnione w dywizyonowych kolumnach bataliony piechoty, stojąc jeden za drugim, zastąpiły mu drogę, pozostawiając mu jedną alternatywę: albo poddać się, albo przebić się przez potrójną zaporę. To jednakże ostatnie, połączone z trudnością debuszowania kawalerii ze stodoły, przez drzwi szerokie wprawdzie, ale nie mogące więcej jak sześciu rzędem jeźdźców przepuścić, w obliczu nieprzyjaciela, wydawało się niepodobieństwem.

Austriacy pewni, że zwrócili już na siebie uwagę złapanych niby w samotrzask huzarów, zatrzymali się w kolumnach ścieśnionych, oczekując spokojnie na parlamentarza. Huzary posiadali tymczasem i pomunsztuczili konie. Rotmistrz zaś i oficerowie z wyraźną niespokojnością chodzili od wrót do wrót i wyglądając przez szczeliny, mierzili wzrokiem cały ogrom swego nieszczęścia, jakie na nich zaniechanie ostrożności wojskowych spowodowało.

Rotmistrz był młodym człowiekiem, którego tytułem do komenderowania szwadronem nie była bynajmniej służba w szeregach wojskowych. W jednym z komitatowych miast współobywatele wybrali go na kapitana do milicyi narodowej i z tym stopniem wstąpił do kawalerii organizującej się armii i dostał szwadron. Wielki brak oficerów w początkach

wojny uprawiedliwiał tego rodzaju rozdawnictwo dowództw. Nie było ludzi fachowych, więc największym zdawało się powierzać komendy tym, których wyznaczała opinia publiczna, wyrażona przez wybór; wybrany bowiem musiał posiadać, jeśli nie dokładną znajomość rzemiosła wojennego, to przynajmniej przymioty osobiste i zalety, usposabiające go do zdobycia i nabrania znajomości tej, będącej w gruncie rzeczy nader prostą i łatwą. Nasz rotmistrz, obdarzony od natury zdrowym rozsądkiem i odważnem sercem, w krótkim czasie oswoił się z mechanizmem dowództwa. Wojna jest najlepszą szkołą wojskową. I nasz młody rotmistrz był wcale dobrym rotmistrem, a jeżeli niekiedy pomylił się, jak np. w urzędzeniu spoczynku w stodole, to tego nie należy brać mu za złe, było to bowiem skutkiem zapomnienia się, pochodzącego ze znużenia fizycznego, połączonego z litością nad żołnierstwem, które upadało od znużenia. Prawda, że zapomnienie się to zagroziło zgubą całemu szwadronowi i całkowita moralna za nie odpowiedzialność ciążyła na rotmistrze. Czuł on to i rozumiał, i niczem innem nie był zajęty, tylko uratowaniem szwadronu.

Zrobiwszy wszystkie postrzeżenia nad ruchami i stanowiskiem kolumn austriackich, stanął rotmistrz przy drzwiach frontowych i zwołał podkomendnych swoich oficerów na radę wojenną. Podkomendni oficerowie nie wiele poradzić umieli, bo ani doświadczeniem, ani wiekiem nie przewyższali rotmistra.

— Co tu począć? — zapytał rotmistrz.

Oficerowie milczeli i ściskali ramionami.

— Hej!... wachmistrz!... zawołał rotmistrz.

Wachmistrz przymaszerował, odsalutował i stanął wyprostowany.

— Co teraz robić?...

— Co rotmistrz każesz! — odparł wachmistrz.

— Ale, chodzi mi o to, ażebyś poradził — rzekł rotmistrz niecierpliwie. — Widzisz, w jaką wpadliśmy matnię... Potrzeba z niej wyprowadzić szwadron.

— Hm!... hm!... — odchrząknął głośno wachmistrz i salutując powtórnie, rzekł:

— Mam honor najpokorniej meldować panu rotmistrzowi, iż jeśliby nie potrzeba było wyprowadzać szwadronu, to należałoby wywieść biały sztandar i wysłać przed stodołę pana porucznika z trębaczem; ale, jeżeli potrzeba wyprowadzić szwadron, to na to niema innego sposobu jak... *durch und durch!*..

Ostatnie trzy wyrazy, wymówione po niemiecku, poparł gestem, który zależał na groźnem zmarszczeniu czoła i pchnięciu palcem w powietrze w stronę austriacką. Rotmistrzowi także brwi się sfalowały i oko ogniem błysnęło.

— Tak!... — rzekł ten ostatni, po chwilce milczenia — innego sposobu nie ma... Ale jakże to wykonać?...

— Mam honor najpokorniej meldować — odparł wachmistrz — że potrzeba, aby huzary wsiadły na koń w stodole, a potem... otworzyć wrota na rozcież, wysunąć czwórki, sformować się kłusem i...

— Panowie oficerowie! — przerwał rotmistrz rozkazującym tonem — na miejsca!... — a wychodząc przed front szwadronu, który sformowanym był już przez wachmistrza do wsiadania na koń, poprawił szako i przemówił do żołnierzy:

— Huzary!... jesteśmy otoczeni!... Aby dostać się do swoich, potrzeba nam przebić się przez kolumny piechoty. Gorąca kąpiel nas czeka!... Może połowa, może więcej, niż połowa z nas nie wyjdzie!... Który z was boi się śmierci, niech zostanie w stodole, a ci, co nie boją się, pójdą za mną!...

— Ktoby tam bał się!... — odezwał się któryś z szeregowych. — Przecież Pan Bóg nie na to stworzył huzara, aby jak pies od much, chował się od kuli!... Pójdziemy wszyscy!...

Wachmistrz groźnie spojrział na mówiącego i zanotował go sobie w pamięci, w zamiarze ukarania za sprzeciwiające się regułom odżywianie we froncie. Ale rotmistrz inaczej ten występki przyjął, bo z rozjaśnionem radością obliczem zakomenderował: na konia a wsiadłszy na konia sam, krótko i dobitnie wydał rozkaz zdobycia pałaszy, które z metalicznym szelestem wysunęły się z pochw i zajaśniały w szeregach uszykowanych w stodole huzarów. Gdy przygotowawcze czynności te zostały ukończone, drzwi stodoly otworzyły się raptem i razem z otwarciem się drzwi padła komenda rotmistrza:

— Czworkami od prawego, marsz!...

I sam rotmistrz wysunął się na czele pierwszej czwórki, a za niemi czwórka po czwórce wybiegła klusem ze stodoly i szybko szykowała się w szeregu.

Zachwycenia godnymi byli i ten rotmistrz i te huzary. Rotmistrz wyskoczył nieco naprzód i zwróciwszy konia na miejscu, stanął frontem do szykującego się szwadronu, a tyłem do nieprzyjaciela i spokojnie oczekiwał na ostatnią czwórkę; huzary zaś

szykowali się, jak na placu parady, jakby przed nimi nie było śmierci, zawartej w kilku tysiącach karabinów i osadzonej na ostrzach kilku tysięcy bagnatów. Nie dalej bowiem jak o półtorasta kroków przed nimi stał w kolumnie pierwszy batalion austriacki. Austriacy jednakże nie przeszkadzali im uszykować się. Wystąpienie huzarów było niespodzianką dla dowódców austriackich, których pedanteria wojskowa nie przypuszczała nigdy takiego ze strony Węgrów zuchwalstwa. Austriacy w kilka batalionów osaczywszy jeden szwadron jazdy i zastąpiwszy mu wychody, mieli go za wzięty w niewolę i oczekiwali na bezwarunkowe poddanie się. Zdumieni się więc, gdy niespodzianie ujrzeli jeńców owych, wynurzających się z ukrycia w bojowym porządku. Nie mogli zmiarkować odrazu co to znaczy. I zanim zdumienie ich przeminało, huzary uszykowali się półszwadronami, a gdy ostatnia czwórka dopadła szeregu, rotmistrz zakomenderował: do ataku broń!... naprzód!... marsz—marsz!...

Szwadron kopnął się cwałem z miejsca i jakby pchnięty jakąś nieprzemogłą siłą, z szybkością błyskawicy, z piorunowym impetem, rzucił się na najbliższą austriacką kolumnę.

Ślicznymi byli huzary w tym krótkim przebiegu. Ich dołmany wzniosły się w powietrze, ich szable błyszczały u góry, ich postacie pochyliły się nad grzywami końskimi; zdawało się jakby uskrzydłili się i spadłszy z pod obłoków, szybują nad samą ziemią. Rotmistrz pędził przodem i piersiami swego konia pierwszy przebił gęszcz szyku austriackiego, a brnąc przez środek, rąbał pałaszem na prawo i na

lewo po głowach uchylających się przed nim i nastawiających mu bagnety piechurów. Za nim wpadł szwadron cały, gęstą, ciężką masą i wywrócił i roztrącił kopytami austriacki batalion w chwili, kiedy w szeregach tego ostatniego zabrzmiła komenda: fajer!...

Temu samemu losowi uległ, blisko za pierwszym stojący, drugi i trzeci batalion. Szwadron, nabyty z miejsca pędem przeleciał przez nie nawskróś, durch und durch, jak wachmistrz się wyraził. Trzeci batalion zdołał wprawdzie dać ognia, ale nieskutecznie, bo strzelił pośpiesznie i zgórował dlatego, że strzelał w kierunku swoich własnych batalionów. Kule, niby rój os, przeniosły się ponad głowami huzarów, zawadziwszy o kilkanaście szaków i o parę głów. Jednym z uszkodzonych szaków było szako Szandora, jedną z głów, którą kula przeszyla, była głowa tego huzara, co odpowiedział na przemowę rotmistrza, a która rozniewała wachmistrza; pierwszy bowiem chciał go nagrodzić, a drugi ukarać za odzywianie się we froncie.

Wyjawszy dwóch poległych, bohaterski ten szwadron wyszedł cało i złączył się szczęśliwie z cofającą się armią, a wypadek ten posłużył jako nauka rotmistrzowi; żaden dowódca nie był potem ostrożniejszym nad niego.

VIII.

W domku Sawy Simicza pełno po Szandorze pozostało pamiątek. Nie były to pamiątki w znacze-

niu materyalnym, bo jedyną materyą, jaka po bohaterze naszym pozostała, był worek z pieniędzmi. Ale worek ten zajmował tylko Sawę.

— Co ja z tem zrobię!... — rzekł Sawa, schylając się i podnosząc worek z podłogi po odejściu Szandora.

Nikt nie mu na to zrazu nie odpowiedział. Anna szlochała, Marijka szlochała, Łuka, chociaż nie szlochał, ale tak coś napoprzek w gardle mu stanęło i w piersiach ścisnęło, że nie mógł słowa przemówić; tylko jeden Janko siedział na łóżku i spoglądał swobodnie na żal rodziny swojej, nie dzieląc jej smutku.

— Co ja z tem zrobię!... — powtórzył Sawa po chwili, trzymając worek na dłoni i spoglądając nań z ukosa.

— To się zda — odparł Janko od niechcienia.

— Zda się!... Zapewne — rzekł Sawa — jeżeli Szandor wróci. Ależ, jeżeli nie wróci!... to co?... A z wojny jedni wracają, drudzy nie. Nas było sześciu, wróciło tylko dwóch... W innych towarzystwach było po ośmiu, po dziewięciu i nie wrócił ani jeden... W całym szwadronie, w którym służyłem, pozostało po wojnie tylko czterech starych huzarów: ja, nieboszczyk Kowacz, Janko i Istwan... Szandor może nie wróci!...

Na te słowa Marijka głośnym zawodziła płaczem i wybiegła z izby, a Janko odpowiedział:

— Wróci, czy nie wróci... to wszystko jedno... te pieniądze zdadzą się, jako zdobycz na wroga.

— Na jakim wrogu?... — zagadnął stary i spojrział z góry na syna.

— A na Szandorze!...

Wzrok Sawy wyraził zdziwienie i powątpiewanie.

— Alboż Szandor nie Madiar?... — ciągnął Janko — alboż Madiary nie wrogi Serbom?... alboż my nie Serby?... Szandor zaciągnął się do huzarów, a huzary to serce madiarszczyzny... on jutro będzie mordował naszych braci... użyjmyż jego majątku na to, aby braciom naszym dopomódz w bronieniu się od niego... Nie masz, ojczu, nad czem myśleć... Oddaj te pieniądze na sprawę serbską!...

Sawa pomyślał, zdawało się, jakby na wpół został przekonany argumentami Janka, bo nic na nie nie odrzekł; ale pieniądze schował do kuferka, zamknął i włożył klucz do kieszeni. Materyalna więc ta pamiątka zaległa w kuferku pod łóżkiem i została prawie zapomniana, bo tylko jeden Sawa o niej pamiętał. Janko, który byłby może upomniał się o nią u ojca na sprawę serbską, wkrótce po wymarszu Szandora opuścił Szegiedyn, a pozostali członkowie rodziny Simicza uważali ją jako świętą i nietykalną własność Szandora. Po Szandorze przeto pozostały pamiątki moralne — serdeczne wspomnienia, które z dniem każdym nabierały coraz większej wartości. Gdy niestało go w gronie rodziny Simicza, wydał się on droższym i Sawie i Annie i Łuce, a szczególnie Marijce. Ona przez dnie całe przesiadywała na kanapie w paradnej izbie, z robotą w ręku, ale bywały dnie, w których ani jednego ściegu nie zrobiła, ani nawet igły dotknęła. Siedziała i dumiała; myśli jej jednakże nie snuły się z żadnego wyraźnego wątku i błądziły niby w ogromnej pustej przestrzeni, niby

pomiędzy ziemią a niebem, idąc i idąc w dal bez końca i nie mając gdzie spocząć.

Po jednym Łuce nie znać było smutku dlatego, że Łuka zatrudnionym był pełnieniem poleceń, jakie mu Janko zostawił. Zatrudnienia te ograniczały się do strzeżenia magazynu i prochowni. Łuka, jak wiemy, był miejscowym naczelnikiem spisku, lecz jak często ze spiskami się zdarza, miał do rozkazywania samemu sobie. Podkomendni jego, którzy zrazu gorąco wzięli się do rzeczy, ochłodli powoli. Kilku z nich, wysłanych w początkach do obozów serbskich z wiadomościami o ruchach wojsk węgierskich, poszło i nie wróciło. Ci byli najzarliwsi i dlatego też, gdy raz dostali się na teatr wojenny, nie chcieli przemieniać go na nudne wyczekiwanie w Szegiedynie; woleli bić się wstępnym bojem, niż nurtować lisiemi drogami. I przyszło do tego, że już Łuka nie miał kogo wysyłać; ci bowiem spiskowi, którzy pozostali w Szegiedynie, mieli ważne powody nieoddalania się: jeden miał żonę, która go nie puszczała, drugi miał żonę, której opuścić nie chciał, trzeci miał dzieci, inny kochankę, inny ważne interesa. A przytem, jakoś tak zbiegły się okoliczności, że w przeciągu trzech, czy czterech tygodni nie zaszło nic takiego, o czym koniecznie uwiadomiłby należało walczących. Łuka oczekiwał na ważne wypadki, postanowiwszy sobie, gdy te zajdą, sam udać się do obozu, a tymczasem codziennie po kilka razy przeprawiał się na drugi brzeg Cisy i oddawał się szczegółowemu studyowaniu zewnętrznego położenia i wewnętrznego urządzenia prochowni. Obejrzał on ją ze wszystkich stron, wyegzaminował mury i okna i kil-

kakrotnie, dzięki nie nazbyt czujnej, ani pilnej bacności rewolucyjnych szyldwachów, stojących na warcie, udało mu się zajrzeć do środka.

Razu pewnego, późnym wieczorem wracał Łuka z wyprawy do prochowni. Wieczór był ciemny i dżdżysty. Ulice Szegiedynu były puste i ciche. Mieszkańcy siedzieli po domach i zaledwie od czasu do czasu spotkać można było jakiegoś pijaka, dążącego z szynku do szynku i chlapiącego się odważnie po błoce. Pijakom, jak powiadają, „morze po kolana“, w dzień im ciemno, w nocy jasno, na dżdżu sucho, a na pogodzie bywa mokro. Łuka spotkał ich kilku i nie zważał na nich, mijał nie zatrzymując się i śpiesząc do domu. Kiedy na zawrocie ulicy mógł rozpoznać wrota swoje, ujrzał przed nimi jakąś postać ludzką stojącą nieruchomie. Ciemność wieczorna nie dozwoliła mu widzieć dobrze z odległości kilku kroków; za każdym jednakże krokiem kształty postaci odrysowywały się coraz wyraźniej i gdy Łuka stanął przed nią, ujrzał się przed człowiekiem okrytym gunią, której kaptur zarzucony na głowę, zakrywał mu połowę twarzy i pozwalał widzieć tylko nos i wąsy. Człowiek ten nie wyglądał na pijaka przez samo staranne okrycie się i nie wydał się Łuce znajomym. Chciał Łuka przemówić do niego, lecz on pierwszy go zaczął.

— Czy ty jesteś Łuka Simicz, syn Sawy Simicza?

— Ja—odparł Łuka.

— Łuko Simiczu, mam do ciebie poselstwo od Janka.

— Jakie? — zapytał Łuka, zainteresowany ostatnim wyrazem.

— Takie — odrzekł nieznajomy i podał Łuce złożony w kształcie sporego listu papier. — Masz!... przeczytaj to, ale tak, żeby Sawa nie widział... Przeczytaj to sobie jutro, po dniu... Bądź zdrow, a spraw się dobrze...

Wymówiwszy to, nieznajomy odwrócił się i odszedł. Łuka chciał się z nim rozmówić, chciał go rozpytać, ale szybkie oddalenie się nieznajomego znieweczyło jego chęci. Odchodził on, jakby uciekał i znikł jak mara nocna. Nie pozostało Łuce nic innego, jak schować list w zanadrze i wejść do domu, gdzie zastał wszystkich swoich zgromadzonych przy wieczerzy.

— Czekaliśmy na ciebie z wieczerzą i nie mogliśmy się doczekać — rzekła Anna, ujrawszy Łukę na progu.

— Zabawiłem się — odparł Łuka od niechcenia.

— Byliśmy o ciebie niespokojni — ciągnęła Anna—bo to takie teraz czasy!... mój Boże!... takie czasy!... Janko na jednej stronie, Szandor na drugiej...

Uwaga ta Anny była snadź skutkiem, albo raczej dalszym ciągiem rozmowy, jaka w nieobecności Łuki toczyła się pomiędzy jego rodziną.

— Brat na brata!... — mówiła Anna — och!... to straszno!... to chyba skończenie świata!... Jeżeli oni zjedzą się jeden naprzeciw drugiego: Janko i Szandor?... Przecież oni bracia... razem się wychowali, razem rośli, a chociaż niejedna matka ich rodziła, to jedna ich pielęgnowała...

Z tych słów Anny miarkując, nastrój ogólny

usposobienia rodziny Simicza musiał być smutnym. I był takim rzeczywiście, a tego wieczora smutniejszym niż kiedykolwiek.

— Zkądże przyszły ci, matko, te uwagi? — zapytał Łuka, siadając za stołem.

— Ojciec, usnąwszy po południu, miał jakiś sen, którego nie pamięta — odpowiedziała Anna — ale który mu jakieś złe dał przeczucie.

— Coś mi się, Bóg wie co, śniło — podchwycił Sawa — ale dobrzebyś, Łuko, zrobił, gdybyś nie oddalał się często z domu... Bo choć ja w sny nie wierzę, ale, jak powiadają, strzeżonego Pan Bóg strzeże.... Siedź ty przez jakiś czas w domu!...

— Cóż złego mogłoby mnie spotkać!... — rzekł Łuka wpół dla uspokojenia rodziców, wpół dlatego, żeby siedzenie w domu nie przeszkadzało mu do wykonania poleceń Janka.

— Może jakie nieszczęście spotka, albo już spotkało Szandora albo Janka... — odezwała się Marijka.

Anna podniosła fartuch do oczu.

— Ani słowa, ani półsłówka.... ani od Szandora, ani od Janka... — rzekł Sawa i spuścił starą głowę w zamyśleniu.

Nastąpiło milczenie. Sawa i Anna, Łuka i Marijka wpadli w smutną zadumę i żadne z nich nie zdobyło się na pocieszenie drugich.

Pocieszenie w smutku zwykle nie w czasie przychodzi. Rola pocieszyciela jest trudną, bo dostaje się ona obojętniejszemu, niezdolnemu czuć nieszczęść tych, których pociesza, i wygląda jak dmuchanie na ogień, czynione w celu ugaszenia płomienia, a wy-

wierające przeciwny skutek. Niewielki ogień można zadmuchać; wielki dmuchaniem rozpala się. W niewielkim smutku można pocieszyć; wielki pocieszaniem rozjątrza się. Nie można dobrać wyrazów do ukołysania serca, ani nastroić głosu do zaśpiewania go, jak rozplakanej dzieciny. Najlepszym pocieszeniem jest podział smutku, rozebranie go na kilka serc. Rodzina Sawy Simicza smuciła się we czwórkę i dlatego smutek jej był cichym i jakimś poważnym.

Łukę korciło powiedzieć, że ma list od Janka, ale wyraźne zalecenie oddawcy listu wstrzymywało go. Zaduma jednakże Łuki nie była ciszą zamkniętego w sercu smutku, lecz zamyśleniem się nad rozwiązaniem zapytania, co też Janko pisze?... Najłatwiejszym zdawałoby się sposobem odpowiedzenia sobie na to zapytanie, było natychmiastowe odczytanie listu. Łuka jednakże był doskonałym stelmachem, ale nieszczególnym czytelnikiem. Z pismem drukowanym szło mu jeszcze jako tako, z pisanem — bardzo tępo. Do odczytania listu potrzebował on i czasu i światła dostatecznego. Nie mógł przeić wziąć się do czytania z wieczora, bo nie zdołałby uniknąć podpatrzenia bądź przez Sawę, bądź przez Annę lub Marijkę; nie mógł bowiem czytać gdzieindziej, tylko w jednej lub w drugiej izbie, albo w sieniach, pod okiem rodziny. Musiał więc czekać do jutra. Ciekawość jednakże dręczyła go, ciekawość, o której nie bardzo słusznie powiadają, że jest tylko udziałem córek Ewy. Ewa udzieliła jej i synom swoim; i nam mężczyznom nie braknie na ciekawości.

Panujące w izbie milczenie przerywanem było

tylko powtarzaniem od czasu do czasu pochrząkiwaniem Sawy i ciąglem mruczeniem kota, które donośnie rozlegało się w ciszy nocnej. Wiedzieć bowiem należy, że mruczenie kota dziwnie usposabia do dumania, szczególnie późnym wieczorem jesieni, kiedy się siedzi w zamkniętej izbie, przy jednej świecy, rzucającej słabe światło i nawpół zaledwie oświetlającej przedmioty. Wówczas mruczenie kocie nabiera jakiegoś półdziwku, jakiejś niby śpiewności, i stawszy się jakoby echem echa, przynoszącem niektóre tylko tony jakiejś oddalonej muzyki, napelnia sobą wszystkie kąty izby i magnetycznem głaskaniem wpada do ucha słuchaczy, a przez ucho komunikuje się wszystkim delikatniejszym fibrom organizmu ludzkiego, któremu potrząsając leciutko, potrząsa całym organizmem. Komu wesoło, to miło mu słuchać tego mruczenia i pod takt onego układać falujące się dumy; komu zaś niewesoło, to smutek jego uśnie przynajmniej na chwilę pod kotysanką kociego „luli“ i obudziwszy się, obudzi pokrzepiony snem.

Kot mruczał zwinawszy się w kłębuszek na poduszce. Sawa spuścił głowę na piersi i „zawiesił ją, jak powiada autor *Maryi*, czarnym myśłem;“ Anna złożyła szczerlnie na piersi ręce, jakby je niemi chciała ścisnąć i ochronić od pęknięcia, i wzniesionym do góry wzrokiem błdziła po suficie; Marijka wpatrzyła się w świecę, której knot spalony rozszczepił się i wychylił z płomienia czerwonymi grzybkowatemi główkami; Łuka zamyslił się i zaprzestał już nawet sięgać ręką w zanadrze. Nieobjaśniona świeca gorzała słabem światłem na stole i oświetlała misy i talerze, łyżki, noże i widelce, i okruchy chleba, i resztki jadła

wpół niedojedzonej wieczerzy, i twarze siedzących dokoła stołu Simiczów. Z nadworu dochodził pluskot sloty, głuchą kapaniną kropli spadających z dachu i cichym szmerem mżącego deszczu, co nadawało ci-szy jakąś dziwną uroczystość spokoju.

— Ktoś idzie! — odezwiała się Anna.

Wyrazy te odrazu jakby zdmuchnęły zadumanie z twarzy siedzących za stołem, i o słuch ich obito się stapanie z podwórza i odgłosy rozmowy ludzkiej, dochodzące razem z metalicznym pobrzękiwaniem, w którym łatwo było rozpoznać brzęk pałaszy.

— Jacyś żołnierze — rzekł Sawa.

— Zapewnie przechodzi wojsko przez Szegiedyn i przysyłają nam ich kwatery — zauważył Łuka.

— Patrzcie!... patrzcie!... — krzyknęła Marijka i ukazała palcem na okno. Wzroki Sawy, Łuki i Anny zwróciły się w kierunku palca Marijki. Na czarnem tle jednej z szyb okna malowała się twarz wąsata, zaglądająca do wnętrza izby; lecz zaledwie oni spojrzeli na nią, twarz znikła i dało się słyszeć dobijanie się do drzwi.

— Otwórz im — rzekł Sawa do Łuki.

Łuka wstał i otworzył. Do izby jeden za drugim weszło sześciu hajduków.

— Dobry wieczór, Sawo Simiczu!... — przemówił jeden z nich.

— Dobry wieczór — odparł Sawa. — Cóż was sprowadza?...

— Przychodzimy z rozkazem dostawienia natychmiast do *warosz-hazy* ¹⁾ twego syna Łuki Simi-

¹⁾ *Warosz-haza* — dom miejski, magistrat.

cza...—odparł spokojnie tenże sam hajduk, a zwracając mowę do Łuki, dodał:

— Łuko, jesteś aresztowany, jako zdrajca kraju i jako taki, nie możesz iść swobodnie.

Przy tych słowach ujęli hajdacy Łukę za ręce, złożyli je razem i związali powrózkiem, którego długi koniec zostawionym był na to, aby służył do prowadzenia więźnia.

Łuka nie bronił się, bo obrona była niepodobną. Sawa z wyrazem przerażenia na twarzy przypatrywał się wiązaniu syna. Anna i Marijka onie miały z przestachu.

— Za cóż to? — zapytał nareszcie Sawa.

— Nie wiem za co — odparł hajduk. — Spełniamy rozkazy, jakie dostaliśmy z waroszhazy.

— Gdzież go prowadzicie?

— Do komendy placu — odrzekł hajduk, który wydawał się być przełożonym nad innymi, bo obracając się do swoich, zawołał tonem rozkazującym:

— *Indiej!* ¹⁾.

Kobiety krzyknęły jednym głosem i posunęły się ku drzwiom, przez które hajdacy wyprowadzili Łukę.

W Sawie objawiła się niecierpliwość, połączona z przestachem; rozumiał on bowiem doniosłość winy, o jaką oskarżony był syn jego, i następstwa onej; rozumiał również, że brak dowodów może być oczyszczeniem od winy i przyczepił się w myśli do braku dowodów, jak do deski zbawienia. Zestawienia rozlicznych „za“ i „przeciw“ błyskawicą mknęły w myśli starego. Przypomniła mu się propozycja

¹⁾ *Indiej* — idź, marsz.

Janka, o której prawie zapomniał, bo nie widział, ani wiedział, aby skutkiem jej powstało jakoweś działanie; nie widział, ani wiedział o krzątaniach się Łuki; sądził więc, że jakaś pogłoska wprawiła Łukę w podejrzenie, które prostem zaprzeczeniem można będzie usunąć. A jednakże wyrazy hajduka „zdrajca kraju“ przejęły go trwogą; znał bowiem groźną doniosłość onych w czasie wojennym; — trwoga zaś zniecierpliwiła go. Schwycił pośpiesznie za czapkę, wmiesił ją na głowę i ruszył za synem. W progu, za ostatnim wychodzącym hajdukiem, dogonił Annę i Marijkę, które machinalnie postępowały za konwojem.

— A wy dokąd?... — krzyknął gniewnie.

— Och!... — odrzekła Anna, płacząc. — Pójdziemy za Łuką.

— A po co wy tam!... — krzyknął Sawa jeszcze gniewniej. — Siedzieć w domu i ani ruszyć się mi!...

I odepchnawszy żonę i córkę i zatrzasnąwszy drzwi przed nimi, pociągnął stary za hajdukami i Łuką.

Biedne kobiety cofnęły się w głąb izby. Anna załamała ręce:

— Nie omyliło Sawę przecucie — zawołała. — O moje dziecko!... mój synu!... Ach!... wojna!...

Marijka usunęła się na łóżko i rzewnie płakała.

A na dworze ciemność, zdawało się, zgęstniała.

Chmury okryły niebo, deszczyk mżył i rozmoczył ziemię i zabłocił ulice Szegiedynu. Brnąc po błocie i oświetlając się latarką, hajdacy, Sawa i Łuka dążyli do plac komendy.

Sawa przez całą drogę rozmawiał, zwracając

mowę to do hajduków, to do Łuki. Do hajduków mówił:

— To jakieś nieporozumienie, jakieś mylne pojęcie, albo może ktoś z nieprzyjaciół moich zrobił fałszywe oskarżenie... Łuka nie mieszał się do niczego... Jeżeli Łuka winien, to i ja winien, bo obydwa razem pracowaliśmy nad koczami.

Do Łuki mówił:

— Nie obawiaj się, synu... Będą ciebie pytali... odpowiadaj śmiało na zapytania... Dowodów niema żadnych, a bez dowodów, to i winnego karać nie można, a nie dopieroż niewinnego!... Nie obawiaj się!...

— Nie obawiam się, ojcze—odpowiadał Łuka.

Gdybyśmy jednakże wejrzeni w serce Łuki, to przekonaliśmy się, że odpowiedzi jego nie były szczeremi. On się obawiał. Jego serce biło trwogą, a biło gwałtownie, bo na tem sercu leżał list od Janka, list tajemniczy, który mógł posłużyć zarazem jako dowód zdrady kraju, jako oskarżenie innych i jako kompromitacja sprawy. Pierwszy z tych dowodów tyczył się samego tylko Łuki, ale drugi i trzeci rozciągał nieszczęście na kilka, a może i kilkaset głów, a może nawet zagrażał zgubniejszemi jeszcze następstwami. Powiedzieć należy, że pierwszy najmniej niepokoił Łukę, pomimo, że był najpewniejszym, gdyż, chociażby list ów nie zawierał w sobie niczego takiego, z czegoby można było wyraźną wysnuć winę, to zawsze posądzono go o zdradę kraju obwiniając o stosunki z nieprzyjacielem. Przejmowało go bojaźnią przypuszczenie dwóch innych dowodów. Próbował Łuka ruchem ramion wysunąć list z za-

nadrza, ale to było niepodobnem, a przytem przyszło mu na myśl, że na ulicy znalazłoby go i oddano urzędowi miejskiemu. Całą więc nadzieję położył w tem, że nie będą go może rewidować w placomendzie, ale sam czuł, jak to *może* było słabą nadzieją i z najwyższą trwogą przestępował próg placomendy.

Widać, że sprawa Łuki była ważną, bo pomimo spóźnionej pory dnia, w sądowej izbie placomendy zgromadzonym był sąd wojenny i czekał na oskarżonego. Za stołem, pokrytym czerwonym sukniem, siedziało kilku oficerów, z których jeden poważniejszy i starszy wyglądał na przewodniczącego, a drugi, siedzący obok niego z plikami papierów przed sobą, na sekretarza. Izba oświetloną była dwoma kinkietami przybitymi do ściany i czterema świecami, postawionymi na stole. Przed placomendą chodził żołnierz na warcie, a z obszernych jej sieni wchodziło się na prawo na odwach, na lewo do izby sądowej. Do tej ostatniej odrazu wprowadzono Łukę i postawiono go przed stołem. Sawa stanął nieco z tyłu, oczekując na pierwsze zapytania sędziów.

Oficerowie spojrzeli na Łukę uważnie, a przewodniczący wojennemu sądowi major, popatrzywszy nań przez chwilę w milczeniu, rzekł lakonicznie do hajduków:

— Zrewidować go!...

Łuka zbladł i zmieszał się. Bładość jego i zmieszanie nie uszły baczności sędziów. Hajduty rozpięli Łuce odzież i pierwszym szczegółem, jaki wpadł im w ręce, był ów list w zanadrzu. Położyli oni list na stole i szukali dalej po kieszeniach, za odzieżą,

a nawet w odzieży, ale nic nie znalazłszy, wręczyli list majorowi.

— Możeby wypadało zrobić poszukiwania w domu tego łotra—odezwał się jeden z oficerów.

— Niema potrzeby—odparł major.—Z listu tego pokazuje się, że wystrzegali się oni Sawy; więc jeżeli są jeszcze inne ślady, to tych nie w domu Simicza trzeba poszukiwać, ale w innym, w którym oni musieli odbywać schadзки i narady.

Łuka odetchnął nieco wolniej, gdy ze słów majora poznał, że ojciec wyjętym jest z pod podejrzenia zupełnie i że list Janka nie daje wyraźnych śladów. Rumieniec począł wracać powoli na jego policzki i usta, a odwaga do serca. To jednakże, co uspokoiło Łukę, zatrwożyło Sawę. Wysunął się on naprzód i kłaniając się sądowi, zawołał drżącym głosem:

— Łuka nic nie winien!... Ja wiem o każdym jego kroku!...

— Co ty za jeden?...—przerwał mu major.

— Ja jestem Sawa Simicz, ojciec Łuki — odparł Sawa. — Ja odpowiadam za syna.

— Odpowiedzialność twoja, dobry człowieku, nie jest tu potrzebną i nic nie pomoże — odrzekł major dobrotliwie, wzruszony ojcowiskiem uczuciem, jakie i tonem mowy i oczami Sawy przemówiło. — Idź do domu i przygotuj się na cios bolesny, który cię spotka, a którego oszczędzić ci niema sposobu.

— Ależ ja ojciec!... — zawołał Sawa—ja mam prawo nie odstępować dziecka mego.

— Idź do domu — powtórzył major.

— Nie pójdę... — krzyknął Sawa. — Nie odstąpię Łuki!...

— Wyprowadźcie go!... — powiedział major do hajduków, popierając rozkaz skinieniem głowy.

Hajduacy porwali Sawę pod ramiona i wyprowadzili z placcomendy. Chciał Sawa wrócić, lecz szyldwach zastąpił mu drogę. Biedny ojciec nie wiedział, co począć. Jakiś rodzaj dziwnego a niemiłego łechtania przebiegał mu po nerwach. Stał na deszczu i wahał się, czy pójść do domu, czy stać i czekać?... Wahał się długo; jakieś złowrogie przeczucie na wskroś przenikało jego duszę; długo stał i czekał, i późno, późno w noc powlókł się do domu.

Nad Łuką tymczasem rozpoczęła się indagacya, którą zaczął major od zwykłych zapytań protokularnych. Jak się nazywasz?... gdzieś się urodził?... ile masz lat?... i t. d.; poczem przemówił do niego w następujący sposób:

— Podejrzany jesteś o zamach wysadzenia w powietrze tutejszej prochowni. Wiedzieliśmy o tem oddawna i mieliśmy cię na oku. Twoje wyprawy na drugi brzeg Tissy i oglądania prochowni utwierdzały podejrzenie, a list znaleziony przy tobie, jest stanowczym dowodem zamachu.. Przeczytaj pan list ten głośno — rzekł major do sekretarza.

Sekretarz czytał:

— „Łuko!

„Wkrótce do Szegiedynu zwiozą broń i amunicję. Pilnujcie tego i jak tylko broń ta i amunicya złożone zostaną w magazynie, natychmiast, nie czekając, ani odkładając, wysadźcie je w powietrze, są to bowiem ostatki, któremi Madiary chcą z nami wal-

czyć. — Madiarom źle idzie. Niemcy pędzą ich od Wiednia, a my od Dunaju. Nasze słońce jasno wschodzi. Niebawem zajrzemy do ostatnich gniazd madiarskich i niedaleko jest godzina, w której zawitamy do Szegiedynu. Uprzątnijcie nam drogę. Wysadzenie magazynu i prochów jest koniecznie potrzebne — koniecznie!... koniecznie!... Nie zapominajcie, coście przyrzekli i pamiętajcie nic o tem Sawie nie mówić, bo Sawa przeszkodzi... Sprawcie się dobrze i niech wam Bóg pomaga!... *Živio srbska kraina!*...“ Podpisano: „Janko Simicz.“

Łuce dziwnie jakoś rozjaśniła się twarz przy czytaniu tego listu. Otucha wstąpiła do jego serca.

— Cóż ty na to? — zapytał się major.

Łuka milczał.

— To jest list twego brata?

— Mego brata — odparł Łuka pewnym głosem.

— Miałeś zamiar wysadzić w powietrze prochownię?

— Miałem i żałuję, że nie mogę przyprowadzić go do skutku — była odpowiedź Łuki!

Oficerowie posunęli krzesłami, jakby chcieli zrywać się z miejsc, i szmer zgrozy przebiegł pomiędzy nimi. Major uspokoił ich skinieniem ręki.

— Prawda twoich odpowiedzi zaręcza mi, że i na następne zapytania odpowiesz prawdę... Powiedz mi: kto był twoim spółnikiem?

Łuka milczał.

— Czy miałeś spółników twego zamiaru? — zapytał major ponownie.

— Nie miałem żadnych — odparł Łuka.

— Żadnych?

— Ani jednego!...

— Na początkowe zapytania odpowiadałeś prawdę, a teraz kłamiesz — rzekł major i rozpoczął szereg zapytań, które z rozmaitych wychodząc punktów, zmierzały ku jednemu — ku wydobyciu z ust Łuki kilku nazwisk współników zamachu. Używał major perswazyi, podstępu i groźby; kazał sprowadzić kilku Serbów i Wołochów, na których padał cień podejrzenia i którzy dla śledztwa aresztowanymi byli tegoż wieczora i trzymanymi pod wartą na odwachu, i badał ich każdego z osobna i w przytomności Łuki, ale wszelkie badania i perswazye, podstęp i groźby do żadnego nowego nie doprowadziły odkrycia. Łuka brał całą winę na siebie, a śmiałość, z jaką przyznawał się do niej, i zuchwałość, z jaką ją motywował, dostatecznie dowodziły, że zeznań nie wydobędą z niego żadne środki przymusowe.

— Wiesz, co ciebie czeka? — zapytał go major.

— Wiem — odparł Łuka śmiało i spokojnie.

Śledztwo ciągnęło się przez całą noc i tak żywo zainteresowało i sędziów i posadzonych, że odeгнаło od nich wszelką chęć spania. Skończyło się ono nad rankiem, po ostatnich bezowocnych próbach dowiedzenia się od Łuki o współnikach zamachu.

— Co za szkoda — rzekł major do sędziów — że ten człowiek jest nieprzyjacielem naszej sprawy!... — a zwracając mowę do Łuki, dodał:

— Gdyby była możliwość uratowania ciebie i pozyskania dla sprawy węgierskiej, to użyłbym jej z narażeniem własnem... Ale ty wydałeś sam na siebie wyrok... Idź i przygotuj się... na śmierć.

Łuka podniósł głowę. Uśmiech przesunął się

przez jego usta, duma strzeliła mu z oczu, a czoło jego było tak pogodnem, jakby wyraz „śmierć“ nie zawierał w sobie nic nieprzyjemnego.

— Co za szkoda — rękł, parafrazując odezwanie się majora — że na cześć sprawy naszej nie mogłem spalić fajerwerku!...

— Odprowadzić go do więzienia! — powiedział major do hajduków — i niech przy nim silną postawią wartę... Za dwadzieścia cztery godziny wykonanym na nim zostanie wyrok.

Łuka odprowadzonym był do więzienia, a sędziowie przystąpili do pisania wyroku.

Dziwnem jest serce ludzkie!... Nazywają je niekórzy otchłanią, której brzegi są widne, ale której dna dopatrzyć nie można. Przypominacie sobie np., czytelnicy, Łukę, któregoście poznali przy przeglądzie rodziny Simicza. Był to dobry stelmach, skromny i poczciwy człowiek, którego serce grzało się przy ognisku rodzinnego uczucia w domowym zaciszu i nie wyrывało się po za nie. Dom, rodzina, wystarczały mu, zdawało się, za świat cały, zdawało się, że to był człowiek zwyczajny, niezdolny do posiadania nadzwyczajnego hartu duszy. Skromność jednakże i poczciwość nie zawsze bywają pokrywką słabości, a jeżeli skromność i poczciwość opierają się na odważnem sercu, to zawsze towarzyszą prawdziwemu heroizmowi. W szrankach domowego pożycia małe jest dla heroizmu pole, dlatego, że odwaga nie ma sposobności próbowania się; lecz na polu obszerniejszem występuje ona w całej świetności, przed którą nikną i błedną fufanterya i szarlatanizm, występujące bardzo często w osłonkach odwagi.

Łuce Janko ukazał pole obszerniejsze i on wszedł na nie, nie jako do odrębnego świata, ale jako do rozszerzonego obrębu domowej zagrody. Nie będziemy zadawali sobie zapytania: czy sprawa, której Łuka poświęcił się, była dobrą?... Takie zapytanie nie przystoi w powieści. Zdawała się mu ona dobrą i on przystąpił do niej, przeniósłszy się na jej pole z całym zasobem domowej skromności i poczciwości i znalazł sposobność okazania i wypróbowania odwagi, której w nim przed tem nie można było podejrzewać.

Znalazłszy się w więzieniu, w samotności, doznał Łuka wzruszenia, z którego trudno zdać sprawę. Zrazu w myślach jego było, jak na wzburzonym morzu. Szumiało i huczało. Rozfalowane myśli przelewały się i skakały i w drobne krople roztrzaskiwały się o brzegi. A brzegami były — ściany więzienia. Po za niemi był świat piękny, rodzinne miasto, rodzinny dom; ale ten świat, ta rodzina i ten dom nie były już dla Łuki.

Powoli, powoli uspakajała się burza myśli i Łuka począł zastanawiać się nad sobą, gdy raptem wszedł do więzienia jeden z oficerów dla odczytania wyroku. Wyrok był krótki, zwyczajnie jak wojenny. Za zamach wysadzenia prochni w powietrze, stwierdzony dowodem na piśmie i własnem zeznaniem, Łuka skazanym został na śmierć przez powieszenie, mające się wykonać we dwadzieścia cztery godziny od chwili podpisania wyroku, a że od owej chwili upłynęło dwie godziny, Łuce przeto pozostawało jeszcze dwadzieścia dwie godziny życia. Chwile

jego były policzone... Oficer zapytał go, jakie jest jego ostatnie żądanie.

— Pożegnać rodziców i umrzeć po chrześcijańsku—odpowiedział Łuka.

Odczytanie wyroku uspokoiło go zupełnie. Zaniepokoiła go tylko nieco myśl pożegnania z rodzicami; ale gdy z za drzwi więzienia usłyszał głośne łkanie matki i siostry, gdy drzwi otwarły się i przez nie wpadły te biedne kobiety i rzuciły się ku niemu i przygłębły do niego, jakby chciały wcielić się w jego istotność, i oblały go łzami, okrywając nogi jego i ręce gorącymi pocałunkami—to w duszy Łuki znalazło się tyle pogody, że udzielił jej matce i siostrze i powoli oswoił je ze swoją śmiercią. Nie filozofował on, bo skądżeby niepiśmienny stelmach zdobyć się mógł na filozofię... Był wesół, żartował, powiedział:

— Będę was wyglądał na tamtym świecie... Zejdziemy się tam wszyscy po kolei...

Sawa stał, oparłszy się na łasce, i wlepił wzrok w syna. Żrenica starca była sucha i zaogniona czerwona siatką żyłek, które osnuły białka oczu. Usta poblady, policzki zapadły i przez noc jedną, zdawało się, że siwizna włosów zamieniła się na białosc—tak przez tę noc jedną zgryzoty postarzał stary.

— Powiedz mi, Łuko — rzekł on po długim milczeniu — kto ciebie oskarżył?...

— Nie wiem, ojciec—odrzekł Łuka.—Nie powiedziano mi, kto mnie oskarżył, powiedziano tylko: „wiedzieliśmy o tem oddawna“...

— Oddawna... oddawna... — powtórzył stary powoli i zamilkł i po ruchu jego ust, po drganiu

policzków i po zamyśleniu, w jakie wpadł raptownie, można było miarkować, że przerabia on w myśli ten wyraz: „oddawna“, usiłując przyczepić do niego jakieś nazwisko. W starem sercu zagrało uczucie zemsty.

Bolesnem było ostatnie rozstanie się Łuki z ojcem, matką i siostrą: „Bądź zdrow!“ wydarło się tym ostatnim z piersi z takim jękiem, z taką rozdzierającą rozpaczą, której ani słowem opowiedzieć, ani piórem opisać nie można. Jęk Sawy był suchy, jęk kobiet rozplynał się w łkaniach. Łuka powtarzał co chwila: „bądźcie zdrowi!“ i garnał po kolei każde z nich do siebie, i otulał ramiony, i cisnął na piersiach, a żal mu było puszczać ich od siebie. I Łuce łzy potoczyły się z oczu. Hajdacy i honwedzi, świadkowie tej rozdzierającej sceny, nie mogli powstrzymać się od bolesnego wzruszenia, które u niektórych z nich wyraziło się płaczem. Wszyscy bowiem prawie znali Sawę Simicza i rodzinę jego i szanowali ich, i wszyscy wiedzieli, że Łuka nie za zbrodnię z podłych pochodzącą pobudek skazanym jest na śmierć.

Pożegnanie trwało długo i nie skończyło się do browolnie. Sawa, Anna ani Marijka nie mogli odebrać się od syna i brata. Trzeba ich było wyprowadzić z więzienia. Annę i Marijkę wyniesiono omdlałe, Sawa wyszedł o własnej sile, jeżeli siłą nazwać można krok chwiejny i niepewny, jakim on zawlókł się do domu.

Oddalenie się rodziców i siostry pozostawiło Łukę w głębokiem, gorączkowem wzruszeniu. Nie mógł powstrzymać łez, które mimowolnie płynęły mu

po policzkach, a myśli jego znów splątały się bezładnie i opłatywały się około jednej wyraźniejszej, która była — żalem za rodzicami, za światem, za życiem, za młodością, za przyszłością. Nie dziwny się mu... O! bo ciężko młodemu schodzić ze świata, czując się w całej sile życia, pozostawiając za sobą zapas najpiękniejszych nadziei, a widząc przed sobą tylko... grób otwarty...

Nie trwało jednakże długo rozżalenie Łuki. Położył się on na słomie więziennej, uspokoił się i usnął, i nie obudził się, aż nad rankiem dnia następnego, kiedy do więzienia wszedł ksiądz z wiatykiem. Z pokorą i skruczą przystąpił Łuka do stołu Pańskiego i przygotował się na drogę wieczności...

.
.
.

W godzinę potem Łuka już nie żył...

.
.
.

Poranek, w którym wschodzące na niebieskim widnokręgu słońce widziało zachodzące słońce życia Łuki, był cichym i pogodnym. Nie będziemy opisywali egzekucyi. Powiemy tylko, że do ostatniej chwili nie opuszczały Łukę pogoda umysłu i spokój ducha. Kiedy kat zakładał mu stryczek na szyję, po jego ustach przewinął się uśmiech, a głowa jego pochyliła się pożegnaniem tłumowi ludzi, który otaczał szubienicę. W tłumie tym byli wszyscy jego znajomi, przyjaciele, pokrewni, wyjąwszy ojca, matki i siostry—byli wszyscy prawie mieszkańcy Szegiedy-

nu — mężczyźni i kobiety, starcy, młodzieńcy i dzieci—z którymi niedawno jeszcze, przed półtora doby, dzielił się spółką życia... Jęknął tłum głucho i boleśnie, gdy ciało Łuki zawisło w powietrzu i zachwiało się samotnie, a członki drgnęły i ściągały się konwulsyami konania...

Widok taki zawsze smutne sprawia wrażenie...

A smutek wrażenia tego potęgował się tem, że wszyscy w Szegiedynie znali i kochali Łukę i wszyscy go żalowali. Żalowali go nawet sędziowie—i gdyby nie nieubłagalna surowość praw wojennych, gdyby nie oczywistość dowodów, które czarno na białem wykazywały winę Łuki, nie ma najmniejszej wątpliwości, iż sam wzgląd na jego życie, prowadzenie się i dobrą o nim opinię, byłby uratował go od śmierci.

Żał po Łuce wyraził się powszechnym smutkiem, jaki wszedł do każdego domu w Szegiedynie, gdy tłum powrócił do miasta. Nigdzie o niczem innem, tylko o Łuce, rozmawiano — rozpamiętywano jego życie, jego cnoty i zalety, a gdy je porównano z występkiem, albo raczej z zamiarem występkę, kara wszystkim, nawet najzaciętszym Madiarom, wydawała się za surową, a Serbom i Wołochom — krzyżącą niesprawiedliwością, nadużyciem władzy.

— Tak to Madiary postępują z nami!.. — mówili ci ostatni. — Taki to los gotują nam!... Wybierają najlepszych z pomiędzy nas i wieszają!..

Gadaniny tego rodzaju rozeszły się prędko po wsiach okolicznych, a idąc coraz dalej, rosły w porocyi spadającej z góry lawiny, która u wierzchołka

odrywa się okruszyną śniegu, a na podnóże góry dostaje się masą, zawałającą sobą całe doliny. W dziesiątej wsi powiedziano, że w Szegiedynie wszystkich Serbów wywieszali Madiary i mieszkańcy jej krwawy odwet ponieśli do leżącej obok wsi madiarskiej, której mieszkańców w pień wyrznęli, a mieszkania ich spalili. W odwet Serbom, Madiary ze swojej strony różnęli i palili. Rozdrażnienie między-narodowościowe rosło, wzmagало się, rozlewając się jak lawa płomienna i zapalając serca współmieszkańców jednej ziemi rozpaczą nienawiści.

Wracając jednakże do dnia egzekucyi Łuki, nadmienić należy, że pośród ogólnego smutku, jaki ogarnął mieszkańców Szegiedynu, znalazł się jeden wyjątek. Był ktoś, co się cieszył dnia tego. Z czego on się cieszył? — o tem z całą pewnością powiedzieć nie umiem. Może jaką wesołą dostał wiadomość... Nie wdając się wszakże w powody radości, opowiem sposób, w jaki się ona objawiła.

Tym „ktoś“ był znajomy czytelnikom Leopold Memlauer Edler von Kronenschwert.

Stał on na balkonie domu swego i zdawał się pogrążonym w głębokiem dumaniu. Wschodzące słońce wytoczyło się nad horyzont i zakręlowało ciszy i spokojowi. Cisa, płynęła połyskując się powierzchnią, na której plusnęła niekiedy rybka wyskakująca za muszką, i pluskiem przerywała uroczystość ciszy jesiennego poranku. Wśród tej ciszy odezwał się dzwon, którego głos towarzyszył pochodowi orszaku, odprowadzającego Łukę na śmierć.

Memlauer zadrżał na pierwsze odezwanie się dzwonu, wyprostował się i przybrał pozycję czło-

wieka wsłuchującego się. Drżące i jęklive echo rozlegało się w powietrzu. Memlauer stał i słuchał. Przez cały czas powolnego dzwonienia postać jego nie ruszyła się z miejsca — jakby zastygła posagową nieruchomością. Na twarzy jego panował wyraz zasłuchania się; lecz po za tym wyrazem przesunął się niekiedy cień trwogi lub niepokoju. Dzwonienie ustało; Memlauer stał jeszcze przez chwilę, aż raptem machnął ręką i zawołał:

— Stało się!...

I wszedłszy do izby, w której widzieliśmy go z Jankiem, począł szybko chodzić z końca w koniec. A im dłużej chodził, tem twarz jego przybierała wyraz radośniejszy. Uśmiech rozciągał mu usta, rozjaśniał oczy. Chodził i, snadź zmęczony się, rzucił się na kanapę, rozwalił się, opuszczając całym ciałem, a podnosząc ręce i wzrok do góry, z radością i zachwyceniem w oczach, wydekłamował powoli następujące trzy wyrazy:

— *Wirklicher... geheime... Rath...*

Wszystkie zgłoski i litery tych trzech wyrazów ułożyły się w duszy Memlauera w melodyę jakiejś orkiestry. Każda z nich grała i dźwięczała z osobna, a wszystkie razem składały cudną harmonię.

Gotów ktoś zadać mi podwójne zapytanie: 1-e, dlaczego Memlauer cieszył się? i 2-e, z kąd ja wiem, że on się cieszył?—Na pierwsze zapytanie odpowiem tak: alboż ja wiem!... Co się zaś tyczy drugiego, to odpowiedź będzie łatwiejszą i wyraźniejszą. Wiem o tem od samego Memlauera... Znałem się z nim—spotykałem go to tu, to owdzie—nie zabierałem z nim wprawdzie przyjaźni, dlatego, że on zwykle spoglądał

na mnie z góry, a jednakże kilka razy wygadał się przedemną to z tem, to z owem. Lubił on szczególnie rozprawiać o swojej prawości, którą zwał technicznie „lojalnością“, i dowodził, że nagroda za nią nietylko na tamtym, ale nawet i na tym jeszcze świecie spotyka człowieka, a rozprawy te i dowodzenia z takim taktem i przyzwoitością prowadził, że warto go było posłuchać. Nasłuchawszy się więc od niego o rozmaitych rozmaitościach, zestawilem daty wypadków i wrażeń, o jakich on opowiadał, i jedna z nich, przywiązana do opisanego powyżej duchowo muzycznego wrażenia, zbiegła się z datą egzekucyi Łuki. Zestawilem więc te dwa fakta, jedną datę noszące, pozostawiając czytelnikowi zupełną dowolność w robieniu wniosków i przypuszczeń, od których sam wstrzymuję się dlatego, żeby—przypadkiem — nie obrazić na siebie Memlauera. Przyznać się bowiem muszę, że moje wnioski i przypuszczenia nie wypadłyby na jego korzyść i naraziłbym się tylko na to—że pan Memlauer z niczem już nie wygadałby się przedemną... A byłoby to strasznie dla mnie—powieściopisarza... Gdybym był poetą—to co innego!... Mógłbym Memlauerów tworzyć... Będąc jednakże tylko powieściopisarzem — zkądżebym ich wziął, gdyby oni wystrzegali się mnie!... gdyby przedemną nie chcieli gadać, chodzić, działać, chwalić się, panoszyć, niekiedy srożyć się, zawsze modlić—słowem, żyć całą pełnią swego na poły prawdziwego, na poły sztucznie podrabianego życia!...

IX.

Przenieśmy się na teatr bojowy, na który musimy zajrzeć, jeżeli chcemy śledzić za krokami naszego bohatera.

Wyraz „bohater“ przywodzi mi na myśl jedną uwagę, której pominąć nie mogę. Zdarzyło mi się czytać i słyszeć rozmaite gniewy i dasy na powieść. Gdyby jednak powieści nie było — iluż to bohaterów poszłoby w niepanięć!... bohaterów, o których historya nie wspomni, epopeja nie zaśpiewa, z którymi zaledwo spotkać się można w błędnych jakich piosnkach ludowych, i to — bezimiennie... Powieść ma prawo odgrzebywać ich, podnosić i popularyzować, nazywając ich po imieniu i nazwisku, opowiadając ich czyny, powtarzając ich słowa i myśli. Czyniąc to, oddaje ona wielką usługę nietylko literaturze, ale społeczeństwu, bo zaprowadza pewną harmonię we wzajemnem pojmowaniu się działów, na które każde społeczeństwo rozpadać się musi — bo zapełnia lukę, której uczone traktaty i dysertacye zapełnić nie są w stanie—bo nakoniec tymże samym traktatom i dysertacyom dostarcza żywiołu i materiałów. Pewne przysłowie powiada: „ręka rękę myje“, co oznacza, że w życiu ludzkim jedna funkcyja wspiera drugą i jest przez tę ostatnią wzajemnie wspierana. A że piśmiennictwo jest odbłaskiem życia, przeto i w piśmiennictwie jeden dział onego wspiera drugi. Powieść wspiera bodaj czy nie wszystkie, w rozlicznych ich podziałach i pojedynczych kwestiach... Weźmy np. kwestyę bohaterów. Bohaterowie—wyobraziciele

epok i narodów, występują w historii, jak posagi, postawione na zdobnych w płaskorzeźby piedestałach. Posagiem jest postać męża dziejowego; piedestałem są jego czyny, wyrażone na płaskorzeźbnej ozdobie. Gdy staniesz wobec posagu i zastanowisz się nad nim, w intencji zdania sobie dokładnie sprawy z całości obejmującej posag i podstawę onego, to zdasz sobie sprawę z posagowej postaci, z kształtów i rozmiarów piedestału, ale zaambarasuje cię płaskorzeźba. Ujrzysz na niej mnóstwo osóbek, postawionych rozmaicie i wpółwychylonych z gładkiej powierzchni bronzu lub marmuru. Historia powie ci fakt, około którego zgrupowały się i ponachylały te osóбки i z którego wyrosł bohater dziejowy, wznoszący się ponad niemi; powie ci nawet, że nie byłoby tego bohatera u góry, gdyby nie było tych osóbek u dołu, ale nie nazwie ci każdej w szczególności, nie powie, w jakiej mierze każda z nich ma prawo do bohaterstwa. O tem może opowiedzieć powieść, nie robiąca sobie skrupułów w zajmowaniu się zarówno i posagowemi i płaskorzeźbnemi postaciami. Nic jej nie przeszkadza wpółwychyloną osóbkę wychylić całkowicie, ociosać, oglądzić i dać ją do obejrzenia ze wszystkich stron i przyczyniać się przez to do wszechstronnego objaśniania momentów historycznych. Tym sposobem dopełnia ona dziejowe opuszczenia i rozkłada — że tak się wyrażę — na pierwiastki bohaterstwo historycznych postaci, zabierając pierwiastki owe dla swoich bohaterów.

Zastosowując powyższe uwagi do naszej powieści i odnosząc je przytem do historii owej wojny węgierskiej, z łatwością poznacie, szanowni czytelnicy,

że nasz Szandor jest jedną z postaci, wyjętych z płaskorzeźby dziejowego piedestału. Na tej płaskorzeźbie historia wyryla szwadrony, pulki, brygady, dywizye i całe korpusy huzarów. Zapatrując się na nich z historycznego stanowiska, widzicie, jak oni maszerują, jak idą naprzód i cofają się, jak zwyciężają i są zwyciężani; ale pomimo, że to wszystko widzicie, nie wiedzieliście, ani się domyślali, że jeden z nich nazywał się Szandor Kowacz, że był kowalem i synem kowala, że był rodowitym Madiarem i wychował się u rodowitego Serba, że kochał się w córce tego Serba i w czasie, w którym miał ją zaślubić, zaciągnął się do huzarów. Wszystko to jest ni by niczem, drobnostką, a jednakże z takich drobnostek składa się pewna całość, która nazywa się życiem narodu.

Co za szkoda, że nie mogę bohatera naszego przeprowadzić przez całe tło wypadków wojennych, zaszłych w 1848 roku!... Wypadł on z nich na trzymiesięczny z górą przeciąg czasu, a wypadł dlatego, że padł pod samym Pesztem. Padł od kuli pistoletowej, ale nie zginął, lecz tylko ciężko został rannym i ta rana przeszkodziła mu uczestniczyć przez jakiś czas w wojnie.

Jak ów, o którym powiadają, „że przez Dunaj przepłynął, a w Dunajcu utopił się,” tak i nasz Szandor, który obronną ręką wyszedł z owej pod stodołą szarzy na piechotę, postrzelonym został w drobnem spotkaniu podjazdowym. Na wojnie często się tak przytrafia: człowiek w wielkiej bitwie ocaleje, a zginie w jakiejś marnej potyczce, o której i wspomnieć nie warto.

Szandor w krótkim czasie wyrobił się na żołnierza. Dziwić się temu bynajmniej nie należy dlatego, że czas ów był czasem wojny, a wiadomo, że wojna jest najlepszą szkołą żołnierską. W niej potrzeba przyprowadza rekruta do odgadywania tego, czego w pokoju trzeba go długo z wielką uczyć trudnością. Po Szandorze ani można już było poznać, że jest on młodszym żołnierzem, wykonywał komendę i pełnił służbę jak stary i w powierzchowności swojej przybrał całą postawę, ruchy i ułożenie kawalerzysty, jakby w huzarach nie od trzech miesięcy, ale od dziesięciu lat służył. Wyuczył się nawet niektórych sztuk huzarskich, wymagających szczególnej zręczności, takich, na których niewielu starych zdobyć się umiało. Naprzykład: umiał pałaszem zrzucić hełm lub kaszkiet i ciąć w goły łeb przeciwnika. Do tego potrzeba: zasłonić siebie, rozciąć podpinkę na twarzy nieprzyjaciela, tylcem pałasza uderzyć silnie w hełm z dołu do góry i rąbnąć z góry. Wszystko to wykonać należy z nadzwyczajną szybkością, prawie w mgnieniu oka. Nazywało się to technicznie „osmarowaniem“, a skutki tego osmarowania były takie, że na polu bitwy spotykałeś niekiedy kirasyerów, dragonów i szwoleżerów z rozplatanymi na dwoje do samej szyi głowami.

Gdy cofające się węgierskie wojska dotarły do Pesztu i zajęły stolicę, którą miały wkrótce opuścić, liczne podjazdy wysłane były ku ścigającemu nieprzyjacielowi. W jednym z takich podjazdów, dowodzonym przez podoficera, znajdował się nasz Szandor. Wyszedł on z miasta i pociągnął traktem

ponad Dunajem, i w niewielkiej odległości od rogatek pokazał się mu podjazd nieprzyjacielski.

— Nieprzyjacieli!... — krzyknął huzar, na szpisy!

Śnieg pruszył i zrazu nie można było dobrze zdaleka rozpoznać, co to był za rodzaj nieprzyjaciela. Huzarzy posuwali się naprzód powoli i ostrożnie. Nieprzyjaciel posuwał się także i widać było po nim, że szuka spotkania, zapewne w celu dostania języka.

— A, to szwoleżery!... — zawołał podoficer — szukają zaczepki!... Zabawimy się, *pajtasze!*...

I uszykował oddział do boju.

Spotkanie było krótkie. Huzary i szwoleżery rzucili się na siebie, a kiedy przyszło do zwarcia się, ostatni zrobili *rechts-um* i ponieśli się wstecz. Rozpoczęła się gonitwa, która nie trwała długo dlatego, że huzary obawiali się, aby naprowadzonymi nie zostali na zasadzkę. W ciągu gonitwy Szandor dojeżdżał jednego ze szwoleżerów, a tak zbliżka, że już, już sięgał go szablą, gdy ten, odwracając się raptem i wyciągając rękę, pałnął mu pod samym nosem z pistoletu. Poczerniało Szandorowi w oczach i zadzwoniło w uszach. Przytomności wystarczyło mu na tyle tylko, że poczuł, jak się zachwiał w siodle, i jak usiłując się utrzymać, zerwał konia, który wspiał się pod nim. W tej chwili przytomność opuściła go zupełnie i Szandor zwałił się na ziemię...

Dziwnem było przyjście Szandora do przytomności. Zdawało mu się, że budzi się ze snu głębokiego, a obudziwszy się, nie wierzył w rozbudzenie. Ciało jego tonęło w czemś miękkim, łagodnym, i dotykało się czegoś tak gładkiego, a tak w gładko-

ści swojej delikatnego i uginającego się, że nie mógł rozpoznać ani domyśleć się, co by to być mogło. Wzrok jego uderzonym został kolorami, które spływały z góry na dół smugami i czepiały się jakichś łuków złocistych, ustrojonych w grona i girlandy. Kolory były łagodne, przejrzyste, zasłaniały one od światła, ale zasłaniały nie zupełnie, a jednakże nie można było przez nie przejrzeć i widzieć, co się po za nimi dzieje. Jakaś woń subtelna, jakby porannym wiatrem zaniesiona z napełnionych kwiatami grządek, napełniała jego organa powonienia. Wodził Szandor oczami, wahał i nie widział, co się z nim stało, i—chrząknął.

Na chrząknięcie bohatera naszego kolory zadrzęły, rozchyliły się i wśród nich ukazała się ludzka głowa, albo raczej główka, ozdobiona taką twarzyczką, oczami i ustami i tak ślicznie oprawiona w ramki kruczych włosów, że wydała się Szandorowi nie ludzką, ale najniezawodniej anielską, a zjawienie się to tak było niespodziewaniem, że nasz huzar przestraszył się, zamknął oczy i zapytał się myślą sam siebie:

— Co to jest?...

Lecz nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Otworzył oczy, spojrzał w stronę, gdzie mu się ukazało zjawisko, i widział tylko kolory.

I począł Szandor zbierać myśli w głowie:

— Wyjechałem z podjazdem, spotkaliśmy się z Austryakami, biliśmy się, dojeżdżałem szwoleżera, który strzelił do mnie, i...

I nie śmiał pomyśleć:

— Zabił mnie...

— Ale, cóż to przecie jest!... — myślał sobie— żyję...

Nie wierzył sobie, że żyje i dla przekonania się ściągnął rękę—ręka się ruszyła, ściągnął drugą—i druga ręka ruszyła się; drgnął nogą—nie zawiodła go i noga.

— No... zdaje się, że doprawdy żyję... niezawodnie żyję; ale gdzież jestem?... co się ze mną dzieje?...

Chciał się podnieść, lecz zaledwie dźwignął ciało, ból dotkliwy przeszył mu piersi: — Szandor upadł na wznak i stęknął.

Stękniecie sprawiło ten sam skutek, co poprzednie chrząknięcie. Kolory rozchyliły się i wśród nich ukazała się mniemana anielska główka. Szandor tym razem nie zmrużył oczu, a główka otworzyła usteczka i półcichym, głaszczącym głosem, czystym madiarskim językiem, wypowiedziała następujące wyrazy:

— Doktor nakazał, abyś nie ruszał się i nie mówił... Leż spokojnie, mój bracie...

A gdy te wyrazy z ust anioła płynęły, wśród kolorów wysunęła się cała jego postać, w której Szandor trzeźwiejszym już nieco umysłem rozpoznał kobietę.

— Gdzie jestem? — zawołał pomimo przestrogi, jaką odebrał, i znów stęknął, bo mu znów ból przeszył piersi.

— Jesteś u przyjaciół—odpowiedziała kobieta—którzy kochają walecznych braci i będą cię doglądać i pielęgnować.

I powtórzywszy jeszcze raz przestroge, odchy

liła kotarę i nachyliła do ust Szandora kubek z jakimś napojem.

Szandor napił się i oblizał, bo nigdy w życiu nie podobnie smacznego nie pił. A może napój ów (o którym wiem, że był orszadą) wydał mu się smacznym dlatego tylko, że go piękne ręczki podały.

Rzeczywiście, ręczki panny Elizy Kömeni były piękne, drobne, zgrabne, zwyczajnie jak ręczki wielkiej pani, wychowanej w dostatkach i zbytkach. A i postać jej cała nie należała do szpetnych. Była wysmukła, kształtna, proporcjonalnie zbudowana i wiotka. Panna Eliza nie była piękną, ale była ładną i z oczu jej świeciło coś takiego, co ujmowało za serce; jej gładkie i dość wysokie czoło było zawsze pogodne, a na ustach wisiał półuśmiech, który opromieniał twarz wyrazem pociągającej dobroci. Włosy, jak wiemy, miała czarne i oczy czarne i cerę nieco śniadą a lekko bladawą, z czem było jej tak ładnie, że mogła uchodzić za piękną.

Domyślił się zapewne czytelnik, że owe nieodgadnione dziwa i cuda, których Szandor nie umiał sobie zrazu wytłómaczyć, były nie czem innem, jeno bardzo wygodnem sypialnem łóżkiem; owe miękkie i delikatne w dotknięciu przedmioty były batystami i aksamitami, które pod postacią prześcieradeł, poszewek i przykryć okrywały poduszki, materace i kołdry, a owe spływające łagodne kolory były cienkimi jedwabnemi kotarami, zawieszonemi na misternych łukach, na przekładzinach w kształcie strzał złocistych i na spięciach, wyobrażających grona, kwiaty i listki. Zbytek, przepych i najwyszukańsza w najdrobniejszych szczegółach wygoda, były ogół-

nemi i szczególnemi cechami tego łóżka. Mamże opisywać pokój, w którym takie łóżko stało?... Harmoniował on z niem we wszystkich swoich częściach, tak w tych, które do architektonicznych, jako też w tych, które do meblowych ozdób należą; po ozdobach i drobnostkach odrazu poznać można było, że to był przybytek niewieści, gniazdo kobiety, która je sobie uwiliła z całą delikatnością smaku, mającego w rozporządzeniu swoje wielkie bogactwa.

Pokój ten był sypialnią panny Elizy, a łóżko, jej własnem łóżkiem. Ciekawa rzecz, jakim sposobem prosty huzar dostał się do łóżka panińskiego?...

Wiedzieć należy, że panna Eliza była najmłodszą córką barona Kömeni, a baron, który oprócz niej miał jeszcze drugą córkę zamężną i dwóch synów, razem z synami i zięciem znajdował się w szeregach powstańców. Panna Eliza pozostała z matką w Peszcie. Baronowa, albo, nazywając ją ze słowacka, baronka, przekładała pobyt w stolicy nad mieszkanie w dobrach dlatego, że w czasach wojennych czuła się bezpieczniejszą w wielkiem mieście, niż w którym z zamków, jakich baronowstwo posiadali kilka w rozmaitych częściach Węgier. A nadto Peszt był ich zwykłą rezydencją i baronka uważała się bardziej u siebie w pałacu, urządzonym na stałe pomieszkowanie. Nad urządzeniem pałacu tego (który był własnością baronowstwa) nie będziemy się rozwodzili, część bowiem onego, pokój sypialny panny Elizy, daje o całości dokładne wyobrażenie. Dość będzie jeżeli powiemy, że było to pyszne mieszkanie magnata, zaopatrzone we wszystko, czem dogodzić można gustownemu zbytkowi. Baronowstwo przemie-

szukiwali w niem ciągle, wyjąwszy letniej pory roku, w której wyjeżdżali bądź na wieś, bądź za granicę. Zima zawsze zastawała ich w Peszcie i z tego powodu uchodzili oni za dziwaków pomiędzy magnatami, których zwyczajem było przepędzanie zim w Wiedniu lub w jednej z większych stolic Europy. Baron Kömeni postępował w tym względzie wbrew zwyczajowi, a takie postępowanie, nawet w wysokich sferach społecznych, nie uchodzi bezkarnie, tembardziej, że u barona połączonem ono było z innemi jeszcze wybrykami, które magnateria węgierska chrzcila mianem „śmiesznej filozofii,“ a które zależały na tem, że baron nie cisnął się do urzędów i dworu. Miano go powszechnie za malkontenta, chociaż nie umiano sobie wytłómaczyć powodów, dla których mógłby on zostać malkontentem, i opinię tę opierało na humorze barona, zawsze cierpkim i ponurym. Pod względem humoru baronowa dotrzymywała sprawy mężowi. I ona była cierpką, ponurą i w dodatku wydawała się dumną, zamkniętą w sobie, nie udzielającą się i mało mówiącą. Bardziej dobranego małżeństwa znaleźć nie można było, bo i baron mało mówił i pomimo to, albo raczej dlatego w rodzinie Kömeni panowała zgoda i harmonia.

Kiedy z odmętu wypadków ówczesnych wypłynęła wojna Węgier z Austryą, bez narad familijnych, bez układów z nikim, mężka część rodziny poszła na wojnę¹⁾, naprzód wyruszył syn młodszy,

¹⁾ Nie wszystkie rodziny magnatów tak postąpiły; niektórzy podzielili się sprawą, wysyłając swoich reprezentantów w części do obozu węgierskiego, w części do austriackiego.

potem starszy, a na ostatku sam baron, i ten ostatni wstąpił do szeregów wówczas, kiedy armia węgierska już się cofała i kiedy wszystkie prawdopodobieństwa i kombinacye kazały wnioskować, że zostanie pobita. Decyzja zaciągnięcia się do szeregów w dość oryginalny odbyła się sposób. Działo się to przy śniadaniu, przy którym, jak zwykle, znajdowała się baronowa i panna Eliza. Baron miał zwyczaj czytać przy śniadaniu gazety. Odczytał gazetę i nic nie mówiąc podał ją żonie. Gdy baronowa czytała, baron rozwaliał się w fotelu i gładził powoli siwe wąsy, błędząc wzrokiem po suficie, a gdy ta skończyła czytanie, powiedział półgłosem:

— Teraz i na mnie kolej.

— A tak — odrzekła baronowa.

I w parę godzin po śniadaniu baron został żołnierzem.

Baronowa i panna Eliza pozostały same, otoczone starymi służącymi, którym siły nie pozwalały towarzyszyć panom, ale nie przeszkadzały służyć paniom i pod pewnym względem opiekować się niemi. Służących było poddostatkiem, bo familia Kömenich należała do tego rodzaju magnackich familij, w których słudzy starzeją się i niby spadkiem od dziadów do wnuków przechodzą. Pomimo więc opuszczenia przez synów i męża i pomimo zmian rozlicznych, jakie w owych czasach zaszły, baronowa nie była opuszczoną i żadnej nie doświadczyła przykrości; — żyła zwykłym trybem, nie dając po sobie poznać, jakiego rodzaju udział brała jej uczucie w sprawie, o którą proces toczył się na polach bitew, przy pomocy argumentów roznoszących zniszczenie i śmierć.

Zdawało się, że spokojnie i z obojętnością oczekiwała ona na rozwiązanie sprawy. Obojętność ta jednakże była tylko pozorną, osłaniającą sobą to uczucie, które osłaniały spartańskie kobiety wyrazami, wymawianymi przez nie przy wręczaniu tarczy mężom i synom. Baronowa kochała Węgry i miłości swojej dowodziła zatrudnieniem, któremu oddała się od początku wojny, a którym było: dostarczanie bielizny dla wojska i zaopatrywanie szpitali. Dolne piętro jej pałacu zamieniło się na warsztat, w którym pracowały szwaczki pod dozorem kamerystek baronowej, a ona sama i panna Eliza robótki kobiece, hafty, krosienka, jakiemi bawiły się dawniej, zamieniły skubaniem szarpi i przyrządzaniem bandażów.

Gdy rozeszła się wieść, że węgierskie wojska opuszczają, a austriackie zajmą stolicę, myśl baronowej zwróciła się natychmiast na rannych.

— Ranni dostaną się w ręce Austriaków — rzekła baronowa.

— Biedni oni!... — odparła panna Eliza i westchnęła — po wyleczeniu, czeka ich niewola... To smutny los!...

Panna Eliza otarła łzę, która mimowolnie spłynęła jej po policzkach, a baronowa pociągnęła za taśmę od dzwonka i po chwili weszła kobieta średniego wieku, podeszła ku baronowej i zatrzymała się przed nią w pozycji oczekującej na rozkazy.

— Zawołaj do mnie Istwana — powiedziała baronowa do kobiety.

Kobieta wyszła i wkrótce po jej odejściu stanął przed baronową siwy człowiek, który pełnił funkcję marszałka dworu.

— Przywieź mi, Istwan, kilku rannych — rzekła do niego baronowa.

Marszałek jakby nie dosłyszał rozkazu.

— Co jasnie wielmożna baronka rozkaże? — zapytał

— Przywieź mi rannych — powtórzyła pani.

— Rannych?... — rzekł marszałek do siebie, cofając się ku drzwiom.

— Rannych żołnierzy węgierskich — dodała baronowa w kształcie objaśnienia.

Stary Istwan poszedł wykonać rozkaz baronki, którego dobrze nie rozumiał pomimo, że długoletnia służba przyzwyczaiła go do lakonizmu rozkazów państwa. Szedł on z miną kwaśną i mrużąc pod nosem:

— Jakich rannych?... zkad ich wziąć?... chyba ze szpitalów.

Kazał założyć konie do karety i pojechał do szpitalów.

W szpitalach byli chorzy, ale rannych nie było dlatego, że w pobliżu Pesztu nie było bitwy, któraby ich dostarczyła, a tych, których przywieziono poprzednio, wywieziono już dniem naprzód z powodu powziętego zamiaru opuszczenia stolicy. Objechał Istwan wszystkie szpitale i, jak powiadają, ani na lekarstwo rannego nie znalazł i powracał do pałacu smutny i markotny, bo przyzwyczajony do niemożności zastosowania się do woli baronki, gdy raptem, na skrócie ulicy, która go miała zaprowadzić do pałacu, ujrzał przez okno karety honwedów niosących na płaszczach huzara. Uradował się stary.

Zatrzymać karete i wyskoczyć z niej było dziełem jednego mgnienia oka

— Kogo to niesiecie *pejtasze?*... — zawołał na żołnierzy.

— Rannego — była odpowiedź niosących.

— Zanieście go do pałacu barona Kömeni!...

Żołnierze zatrzymali się, spojrzeli po sobie, a jeden z nich zapytał:

— Dlaczegoż do pałacu?... czemu nie do szpitala?...

— Dlatego, że ze szpitalów wywieziono rannych od wczora i jeżeli go tam dziś zanieście, to już go nie wywiozą i wasz towarzysz dostanie się Niemcom; w pałacu uchronią go od tego nieszczęścia.

— Al! — odezwali się żołnierze chórem — gdzież ten pałac?...

— Niedaleko... o kilka kroków... przy końcu tej ulicy... A czy nie macie więcej rannych?...

— Nie — odparli żołnierze i skierowali się ku pałacowi.

Istwan wyprzedził ich dla złożenia raportu pani, a gdy zdawał przed nią sprawę z przeglądu szpitalów i ze spotkania, wsunął zręcznie uwagę, że wzięcie do pałacu rannego może być uważanem przez Austriaków, jako przechowywanie nieprzyjaciela i ściągnąć prześladowanie na mocno i bez tego podejrzaną baronową. Baronowa odpowiedziała na to tylko tyle:

— Powiedz wszystkim w pałacu, aby nie rozpowiadali o rannym.

— Ale Niemcy — rzekł Istwan — i bez rozpowiadania zajrzą do nas i dadzą nam postój dla zrobienia przykrości... i dowiedzą się, dopatrzają...

— To go schowamy przed nimi — odezwiała się panna Eliza. — Przecież do mego pokoju nie będą zaglądać...

W tej chwili żołnierze weszli na ganek pałacowy. Panna Eliza wybiegła naprzeciw nich; baronowa wyszła także na ich spotkanie i Szandora (on to był bowiem) odniesiono wprost do pokoju panny Elizy i złożono na jej łóżku.

Nie wysłałem ja tego zdarzenia z palca, szanowni czytelnicy, nie żadną bajkę rozpowiadam przed wami i nie pojedynczym a wyjątkowym traktuję was wypadkiem. Zdarzenia tego rodzaju były bardzo powszechne. Niejedna magnatka nieraz swojej edrodonowej pościeli ustępowała z radością zranionym lub zdrożonym żołnierzom bez względu na to, że zalegali ją oni skapaniami nie w wonnych kąpielach, lecz w kurzu i pocie ciałami, i pozostawiali po sobie żywe upominki, których mnożeniu się wojna bardzo sprzyja.

Nie mam potrzeby zaręczać, że Szandor doskonale na tem zdarzeniu wyszedł. Nie dłużej jak w kwadrans po złożeniu go na łóżku panny Elizy zjawił się nadworny lekarz baronowstwa i opatrzył jego ranę. Szandor był w omdleniu i nie czuł, co z nim robiono. Rana jego była głęboką i taką, że lekarz zważył zrazu o jego życiu; lecz bliższe opatrzenie dało mu nadzieję uratowania naszego bohatera. Kula ugrzęzła mu w piersi i sprawiła obfity upływ krwi, który go osłabił. Kto inny na miejscu Szandora byłby może wyzionął ducha od takiego postrzału. Szandor pasował się ze śmiercią, która zajała mu w oczy pod postacią gorączki, lecz w koń-

cu przemógł śmierć, a do przemożenia jej zarówno mu pomogły: i jego młodość, i kuracya doskonałego lekarza, i starania, jakimi go otoczono.

Pod względem tych ostatnich—rzec można—u rodzonej matki nie doświadczyłby troskliwszych. Pod dozorem bezpośrednim panny Elizy nie zbrakło mu na niczem. Uprzedzano jego życzenia, zapobiegano wszystkim jego potrzebom i strzeżono go od Austryaków, którzy zajęli militarnie pałac barona Kömeni, postawiwszy w nim na kwaterze jednego pułkownika, a w przylegających do niego pawilonach spory oddział piechoty, i w stajniach pałacowych umieściwszy konie od pociągów. Pałac przybrał pozór koszar wojskowych. Całe dolne piętro, w którym przedtem szwaczki pracowały, zajętem było przez pułkownika, który rozłasował się w niem, jak u siebie i na długo, bo sprowadził żonę i dzieci, i postawił się względem baronowej prawie tak, jakby on był właścicielem, a ona gościem. „Biada zwyciężonym!“ wystąpiło z całą potęgą. Położenie baronowej stało się więcej niż drażliwem.

Można sobie wyobrazić, jak w takim położeniu trudno było utaić obecność Szandora, którą mniej trzeba było zakrywać przed samym pułkownikiem, jak przed pułkownikową i jej córkami. Tym ostatnim pochlebiała znajomość z magnatką i jej córką, i bardzo starały się o spoufalenie się z niemi. Dodać należy, że pułkownikówien było dwie, że były pannami na wydaniu, że nie miały posagów, że zdawało się im, iż mają prawo do świetnej kariery i że wszyscy goli podporucznicy i porucznicy z pułku, którym ich ojciec dowodził, starali się o ich rękę,

kę, a wszyscy bogaci świadczyli im jałowe grzeczności, na których one doskonale się znały. Z tego wszystkiego wyrodziła się komplikacya odwiedzin, wizyt, wieczorów, romansów, zwierzań się i intryg, do których taktyka pułkownikowej usiłowała wplątać baronową i baronównę, a dla których szranki dolnego piętra okazały się szczupłemi. Taktykę taktyką należało odpierać. Było to zadanie trudne szczególnie dla baronowej, której duma straszne męki cierpiała, i gdyby nie panna Eliza, wynajdująca rozmaite środki odwracania rozlicznych nagabywań, baronowa nie zdołałaby może stawić czoła wszystkiemu. Prawda, że dwór cały, zaczawszy od Istwana, a skończywszy na ostatnim kuchciku, potężnie wspierał swoje panie, świadcząc, jakim to skarbem nieocenionym jest miłość i przywiązanie służących.

Pułkownikówny, będąc rodowitemi niemkami, były wielce sentymentalne i romansowe. Wiadomo, że sentymentalno-romansowość kocha się w samotności i wyszukuje dla niej odpowiedniej miejscowości. Gdyby nie zimowe mrozy i pluchoty, najodpowiedniejszym na samotne dumania miejscem byłby obszerny ogród pałacowy, ozdobiony misternymi szpalerami, cienistemi gaikami i altanami i ustronnemi kioskami i pagodami, przy których były fontanny, szumiały kaskady. Zima jednakże zbezużyteczniła ogród. Trzeba było w pałacu szukać resursów do samotności. Dobrą wprawdzie na ten cel była oranżerya, zajmująca jedną dużą galeryę pałacu, niezłą była galerya obrazów, albo biblioteka, ale cóż — kiedy romansowość ma swoje kaprysy, lubi oryginalność, goni za czemś nowem, odmiennem. Pułkownikówny, z tem

swojem zamilowaniem do samotności, błdziły po całym pałacu, zaglądały do wszystkich kątów i zatrzymywały się niekiedy w zdumieniu przed drzwiami, które przed nimi były zamknięte. Zrazu nie zwracały na to uwagi, lecz kiedy cały pałac przestał już być dla nich nowością, kiedy odsiedziały na każdym fotelu i oddumały w każdym apartamencie, drzwi zamknięte poczęły drażnić ich sentymentalność i nabierać uroku owocu zakazanego.

— Dlaczego drzwi te są zamknięte? — zapytywała sama siebie panna Gertruda.

— Dlaczego drzwi te są zamknięte? — zapytywała sama siebie panna Katarzyna.

— Gretchen—powiedziała raz do pierwszej pułkownikowa—jestem na śladach jakiejś tajemnicy w pałacu Kömeni.

— Jakiej!... — zawołała młodsza jej córka, mianowana przez nią Ketchen.

— Są jedne drzwi zamknięte...

— Są!...—przerwały razem Gretchen i Ketchen i szyje ich łabędzie wyciągnęły się ku matce.

— Widziałyście?...

— Widziałyśmy—odparły jednym głosem.

— I wiecie?...

— Nie wiemy...

— To jakaś tajemnica—rzekła z tajemniczą miną i tajemniczym głosem pułkownikowa.

— Tajemnica...—powtórzyły panny tajemniczym głosem, który zabrzmiał, niby echo głosu matki.

— Cóżby to mogło być? — zapytała pułkownikowa.

Panny nic na to nie odpowiedziały, bo nie mia-

ły co odpowiedzieć, ale zapytanie matki zapadło im w dusze ziarnem sentymentalnej ciekawości. Ciekawość ta skierowała się naturalnie na pannę Elizę; bo panna Eliza była panną na wydaniu i w świecie romansowych rojeń, jaki sobie Niemki ulepiły w Peszcie, z okoliczności, zdarzeń i osób, które im się pod ręce nawinęły, występowała w mniemaniu ich, jako niebezpieczna rywalka, z którą walczenie było zaszczytem, a otrzymanie zwycięstwa chlubą. Nie stawiała ona wprawdzie do walki, nie stawiała pomiędzy panną Gretchen lub Ketchen a edlerami, ritterami, baronami i grafami, których każdy wieczór sprowadzał obficie do pałacu Kömeni i którzy, pod pretekstem smalenia cholewek do córek swego dowódcy, naciągali kupidynowe łuki w kierunku serca węgierskiej magnatki, odstrzeliwującej im grzeczną, ale zupełną obojętnością. Obojętność ta jednakże, wzięta za pozor, za ton wielkopański, nie przeszkadzała podejrzaniu. Gretchen i Ketchen nie mogły przypuścić, aby serce panny Elizy nie lgnęło do tych rycerzy, do których ich serduszka tak skakały, ale tak skakały, że rycerze musieli całą baczość wyteżać i wspierać ją całym zasobem szarmanteryi, aby nie dopuścić serduszkom tym wskoczenia tam, gdzie im się tak bardzo chciało. Od podejrzania tego rodzaju nie broniło bynajmniej panny Elizy podejrzenie o gorące sprzyjanie sprawie Węgrów, w szeregach których znajdowali się: jej ojciec, dwaj bracia i szwagier. Przeciwnie, pułkownikówny w romansowości swojej uważały, że sentymentalniej jest mieć kochanka w obozie nieprzyjacielskim i w rojeniach nieraz ściągały myślą do nóg swoich nawet młodych baronów Kö-

meni, których nigdy w życiu nie widziały i którym ani śniło się o żadnej Gretchen, ani Ketchen. I na podstawie tych rojeń bardzo logicznie przypuszczały, że baronówna skłonna jest do romansu z którymś z bohaterów austriackich, że nawet skłonność ta jest rzeczywistością, tem sentymentalniejszą, iż owianą urokiem tajemniczości. Skłonność ta jednakże w wysokim stopniu natężenia istniała tylko ze strony bohaterów austriackich; co się zaś tyczy panny Elizy, to jej się o niej ani śniło.

Pomiędzy bohaterami, których było ze czterdziestu, odznaczeni się: graf von Hinterloch, członek znakomitej niemieckiej rodziny, i Ritter von Grünskenwürsten, należący do wysokiej arystokracji czeskiej. Na pierwszego z nich zagięła parol panna Gertruda, na drugiego panna Katarzyna, a obadwa oni skoncentrowali ogień swoich zapalów na pannie Elizie.

Tak stały rzeczy, gdy pułkownikowa objawiła córkom tajemniczość drzwi zamkniętych. Zapytanie jej: „co by to mogło być?“ stało się dla nich zagadką sfinksu i otworzyło bezgraniczne dla domysłów pole. Jedynem danem w tej zagadce były: drzwi zamknięte—i nic więcej,.. A za temi drzwiami coś się kryło, ale—co?... Jakieś tajemnice, których odkrycie podsyćciłyby mogło może jakiś stary romans lub stworzyć jakiś nowy.

Pewną jest i niezawodną rzeczą, że kto w jakiej sferze żyje, do takiej odnosi wszystko, z czem się mu gdziekolwiek i jakkolwiek spotkać zdarzy. Speculant nakręca wszystko do spekulacji, lekarz do medycyny, artysta do artyzmu, filozof do filozofii, poeta do poezji, a sentymentalna kobieta, a miano-

wicie niemka, do romansu. Gdyby np. spekulant, lekarz, artysta, filozof, poeta i kobieta znaleźli się razem w cudnem jakim miejscu i ujrzeni roztoczony przed sobą najpiękniejszy obraz przyrody, to każdy z nich obraz ten zużytkowałby po swojemu w myśli swojej. Pierwszy pomyślałby o tartaku, który wybornie mógłby funkcjonować na żywej wodzie; drugi o szpitalu, któremu nie brakłoby czystego powietrza; trzeci o pejzażu, któryby zajaśniał na wystawie i spowodował przyłączenie do imienia jego wyrazów: „wielka nagroda, medal pierwszej klasy;“ czwarty o harmonii, którą potrafił Stwórca zaprowadzić w naturze, bez radzenia się w tej mierze filozofów, piąty o zrymowaniu wyrazów: skały, drzewa, listki trawa, urwisko, przepaść, strumień i t. d.; szósty o kamieniu dość płaskim, aby na nim można było usiąść i wygodnie odegrać scenę oczekiwania. Z tego to powodu drzwi zamknięte od sypialnego pokoju baronówny Kömeni znalazły w umysłach sentymentalnych niemek zastosowanie romansowe, a to zastosowanie uratowało sypialny pokój panny Elizy od policyjno-militarnej rewizji, która niezawodnie byłaby nastąpiła, gdyby pułkownik uwiadomionym został o istnieniu jakowejś tajemnicy. Pułkownik, jako Niemiec i stopniem i wiekiem znacznie oddalony od tej epoki życia, w której każdy Niemiec jest burszem i ma duże skłonności do brania na seryo ballad Bürgera, był anti-romansowych usposobień i nie zniósłby żadną miarą żadnej pod nosem i bokiem swoim tajemnicy, szczególnie w czasach wojennych i w mieście ogłoszonym formalnie, rozkazem głównodowodzącego, w stanie oblężenia. Wiedziały o tem usposobieniu

pulkownika panny Gertruda i Katarzyna, również jak i pulkownikowa i nic nie powiedziały o odkryciu drzwi zamkniętych. „Bo — myślały sobie — jeżeli za temi drzwiami nie ma nic?...“ to rewizya stałaby się tylko kompromitacją romansową, rozbiwszy rojenia, przypuszczenia i domysły o... rzeczywiście: nic...

Do kategorii jednakże formalistów takich, jak pulkownik, takich jak on realistów służbowych, nie wchodził w mniemanie pulkownikowien ani graf fon Hinterloch, ani ritter fon Grüşkenwürsten. Graf i ritter, równocześnie, w wielkiej tajemnicy, pod zaklęciem uroczystego a rycerskiego słowa honoru, otrzymali zwierzenia się: pierwszy od panny Gertrudy, drugi od panny Katarzyny, a celem zwierzenia się było uroczyste wezwanie tych rycerskich ludzi do spółdziałania w rozwiązaniu zagadki, w odkryciu tajemnicy, ukrywającej się za drzwiami sypialnego pokoju panny Elizy Kömeni. Dla rycerzy było to gratką nielada. W ich uszach wyrazy: „sypialny pokój panny Elizy Kömeni“ jakoś dziwnie uroczo zabrzmiały. Dali więc słowo honoru każdy z osobna, nie widząc jeden o drugim, i każdy z nich przyrzekał swojej damie serdeczne spółdziałanie. Sformowały się tym sposobem dwie pary oddzielne: panna Gertruda z grafem fon Hinterlochem i panna Katarzyna z ritterem fon Grüşkenwürstenem, dążące ku jednemu celowi — ku sypialnemu pokojowi. Pulkownikowa stanowiła pewien rodzaj wspólnej rezerwy, o której jednakże rycerze nic nie widzieli.

X.

Dla wyjaśnienia lepszego sprawy, która się wywiązała z powodu drzwi zamkniętych, powiedzieć muszę, że graf fon Hinterloch i ritter fon Grüşkenwürsten, jeden i drugi, każdy ze swojej a osobnej strony, mieli zamiary na baronównę Kömeni. Zamiary te powzięli oni nie z romansowych, ale z bardzo praktycznych powodów, pomiędzy któremi najważniejszym był ten, że baronówna tyle od posagu swego miała rocznego dochodu, ile każdy z nich liczył całego majątku. A nadto, dotychczasowe tryumfy armii austriackiej, rokujące niechybne zwycięstwo nad przeciwnymi wojskami, ukazywały im w perspektywie powiększenie posagu baronówny przez możliwe śmierci męzkich spadkobierców barona i prawie pewne przelanie majątku, wskutek odstąpienia tych ostatnich od prawa posiadania onego, na spadkobierców żeńskich. Wysoko przytem arystokratyczne brzmienie nazwiska „Kömeni“ nie było także jednym z małych powodów, dla których i graf i ritter życzyliby sobie stanąć z baronówną na słubnym kobiercu, a uważając się pod tym względem za równych, czuli się upoważnionymi do starania się, jeżeli wprost nie o rękę, której natychmiast nie spodziewali się otrzymać, to o skarbieńie sobie względów bogatej dziedziczki, nawet, jeżeliby się dało, o pozyskanie tymczasem jej serca, z czem później, po uśmierzeniu polityczno-wojennych niepokojów, łatwiejby im było trafić i do ręki. Wydawało się grafowi wca'e niezłą rzeczą herb Hinterlochów połączyć

z herbem Kömenich, wydawało się ritterowi wcale niezłą rzeczą herb Grüşkenwürstenów połączyć z herbem Kömenich... i połączenie to wesprzeć kilkudziesięciomilionowym majątkiem. A że to „wydawało się“, gdyby stało się rzeczywistością dla jednego, to nie stałoby się rzeczywistością dla drugiego, przeto grafowi niemało chodziło o to, aby ritter nie pozyskał względów baronówny, a ritterowi niemało o to chodziło, aby graf nie pozyskał względów baronówny. Był więc pomiędzy nimi, od pierwszego niemal wejścia do pałacu Kömeni, głuchy antagonizm, pewien rodzaj tajemnej rywalizacji, osłoniętej pozorami etykiety. Graf i ritter byli lwami towarzystwa, które zapanowało na horyzoncie stołecznym po wymarszu Węgrów i panowało przez całą zimę. Oni dwaj nadali ton, kierowali opinią towarzystwa — że tak rzekę — królowali w czarno-żółtych ¹⁾ salonach, ścigając na siebie oczy niewieściej, a służąc za wzór męskiej połowie sprzymierzeńców Austrii. Nic im nie brakło: ani urody, ani majątku, ani dystynkcji w ułożeniu, ani dystynkcji w karyerze. Co się tyczy urody, nie byli oni podobni do siebie w naturze, ale byli podobni z rysopisu, obydwaj bowiem byli młodzi — średnio-słusznego wzrostu — na obydwóch mundurach, spodnie i buty leżały jak ulane — co oznacza, że obydwaj byli kształtnie zbudowani — twarze ich były bardzo przystojne, oczy — u jednego błękitne i u drugiego błękitne, z tą różnicą, której wiele dam dopatrzyło, że u jednego błękitniejsze były niż u dru-

¹⁾ Czarno-żółtymi, inaczej *Szwarcgelberami*, nazywano Austryaków i ich stronników.

giego, i z tą szczególnością, która także damom w oczy wpadła, że chociaż obydwaj byli blondyni, ten jednakże z nich, który miał jaśniejsze włosy, miał ciemniejsze oczy, ten zaś, który miał ciemniejsze włosy, miał oczy jaśniejsze. O tym fenomenie panna Gertruda i Katarzyna bardzo często z rozmaitemi rozprawiały osobami i bardzo na seryo nad nim się zastanawiały.

— Dlaczego ritter fon Grüşkenwürsten nie posiada oczów grafa? — pytała panna Katarzyna siostry.

Panna Gertruda wzdychała.

Panna Katarzyna podchwytywała westchnienie — pierś jej podnosiła się, podnosiła powoli i opadała raptem.

I obie siostry rozmawiały z sobą przez czas jakiś — westchnieniami — tym wymownym serc czułych głosem... Po chwili panna Gertruda odpowiadała.

— Ach!... to nadzwyczajne!... jaśniejsze oczy, a ciemniejsze włosy!... To nadzwyczajne!... Grafowi z tem tak do twarzy!...

— I ritterowi do twarzy!... — wtrącała panna Katarzyna.

— Ach!... — wydierało się z piersi panny Gertrudy.

Z piersi panny Katarzyny także wydierało się:

— Ach!...

A oprócz w nadzwyczajne oczy i włosy, hojna przyroda ustroiła rycerzy naszych w zwyczajne wąsy, które jednakże zwyczajnemi wydawały się innym, ale ani pułkownikównom, ani samym rycerzom. Nad-

zwyczajność ich zależała naprzód na tem, że od kilku zaledwie miesięcy uzyskali oni pozwolenie noszenia wąsów i nie mieli jeszcze dość czasu nacieszyć się niemi. Z powodu tego pozwolenia powzięli oni olbrzymie wyobrażenie o liberalizmie i szalonymi domagami mienili wszystkich, którzy nie podzielali z nimi tego wyobrażenia i nie mogli zrozumieć, czego chcieć i czego wymagać można od rządu, który pozwala nosić wąsy. Jakieś tam domagania się na sejmie, chociażby najskromniejsze, były dla nich wyuzdaniem komunizmu, który znanym im był z nazwiska. A wszystko to *à propos* wąsów, któremi pysznili się, jako zdobyczą postępu, i nie mogli dość napatrzyć się na nie. To nie dosyć, że przypatrywali się im we wszystkich zwierciadłach, ale i bez pomocy zwierciadeł umieli spoglądać na nie, odymając wargi i spuszczać po policzkach promienie wzroku. Graf doszedł do takiej doskonałości, że obiema oczami patrzeć mógł na obydwu swoje wąsy. Ritter tej doskonałości nie posiadał, on musiał kolejno przymrużać jedno oko, a drugim oglądać jeden tylko wąs po jednej tylko stronie nosa, i przyszedł do tego przeświadczenia, że gdyby nie nos, mógłby jednym okiem oba wąsy widzieć. W tym względzie ritter niższym był od grafa, ale o tej jego niższości publiczność nie wiedziała i zapatrywała się na niego takim samem jak na grafa okiem, i widziała u jednego i drugiego dość spore pod nosem wąsy, i nawet dopatrzyć mogła, że wąsy owe użytkowały znaczną ilość fiksatuaru, nadającego im estetyczne formy, przypominające nieco różki do kawy.

Pewnego wieczora był bal publiczny, na którym zgromadziło się wszystko, co w stolicy Węgier należało do wyższych rządowych i urzędowych sfer. Salony balowe świeciły wyborem towarzystwa. Nie umiem powiedzieć, *in gratiam* czego danym był ten bal, ale wiem, że był jednym z najświetniejszych, jakie Peszt w tym roku oglądał. Białe, ciemno-zielone i tabaczkowe mundury, wyświeżone i wygalowane, uwijały się wśród niewielkiej liczby fraków i wielkiej różnokolorowych sukien damskich, sukien balowych, lekkich, pysznych, a tak pysznych, że tylko jeden *Kuryerek Warszawski* byłby w stanie opisać je każdą z osobna i wszystkie razem, on jeden bowiem posiada własność ogarnienia jednym okiem całości balu i wglądania w szczegóły onego; on jeden ze znajomością rzeczy umie oceniać: falbany, bufy i fałdy, spódnice, kształty staników, wycięcia gorsów, głębokie znaczenie girland, dyamentów i pojedynczych kwiatków we włosach, wysoką wartość bukietów i wachlarzy, tajemnicę gaz, muslinów, aksamitów i atlasów. O! czemuż to Kuryerek nie był w Peszcie na owym balu!... Jaką bytność jego oddałaby olbrzymią i balowi i mnie usługę!... Bal zostałby uwiecznionym w jego szpaltach, a ja ozdobiłbym powieść niniejszą wyciągiem z Kuryerka, a przynajmniej wiedziałbym z pewnością, jak była ubrana panna Giertruda i panna Katarzyna. Bez Kuryerka zaś nie posiadam żadnego autentycznego źródła, do którego mógłbym się odwołać i z którego mógłbym zaczerpnąć wiadomości o stroju pułkownikówn. Nawet nie wiem z pewnością, czy jednakowo były ubrane, zdaje się jednakże, że zachodziła jakaś mała w czemś

różnica. Jakoweś wiązanie innem było u panny Giertrudy, innem u panny Katarzyny; ale zachodzi ważne, a bez odpowiedzi mające pozostać pytanie: gdzie było owo związanie?... czy była to jaka kokarda u paska lub na ramieniu, czy przewiązka na głowie, czyli też co innego?... Nie będąc w stanie rozwiązać tego zapytania, przejdę do innych przedmiotów.

Bawiono się bardzo wesoło, jeżeli wyraz „weselość“ da się zastosować do regularnego, wymierzonego i na „*ein, zwei, drei*“ wyrachowanego kręcenia się, chodzenia, suwania i podskakiwania obojej płci ludzi po napełnionych rzęsistem światłem i ogłaszających się w regularnych przestankach akordami wojskowej orkiestry salonach. Zwijano się i rozwijano w tańcach. To występowały szeregi do kadryla; stawały zrazu w czworobok, którego ściany, uplecione z dam i kawalerów, rozrywały się następnie, mieszały, płatały i w końcu — rozchodziły. To wyskakiwały na środek para za parą i nosiły się w polce, lub wirowały w walcu. To inny jakiś taniec salonowy wieszal na ramionach lub czepiał do boków rycerzy austriackich delikatne kwiatki, Ignące do nich tym niemal sposobem, jak gołąbka Ignie do gołębia, albo kureczka do koguta.

Tańczono walca. Ach!... wale!... jakież fatalne wspomnienie wywołuje on w mojej pamięci!... wspomnienie krwi, bólu i wstydu...

Staje mi przed oczami tancerka śliczna i młoda, która z całą ufnością oddała mi się w ręce, zawiesiła się na mojem ramieniu, pochyliła główkę ku moim piersiom, i... a ja — podeptałem jej nogi, rozbiłem jej

nos, wywróciłem ją na podłogę, i... wyproszony zostałem z balu. Taki sam wypadek byłby może spotkał pannę Giertrudę lub pannę Katarzynę, gdyby graf von Hinterloch, tańczący z pierwszą, albo ritter von Grüszenwürsten tańczący z drugą, nie byli skończonemi pod względem walca doskonałościami. Graf i ritter jeden za drugim obiegli wirowym sposobem dokoła salonu, trzymając w objęciach swoich wypięte pułkownikówny, których oddech mieszał się w przelocie z oddechem rycerzy, których wzroki tonęły w ich oczach, których loki unosiły się w powietrzu lub przy zakrętach trzepały kawalerów po policzkach, muskały ich po uszach i nosach i pojedynczymi włoskami czepiały się ich wąsów. Obiegi dokoła salonu raz, obiegi drugi raz i w połowie trzeciego koła posadzili swoje damy — jeden w jednym kącie, drugi w drugim kącie. Damy, usiadłszy, oddychały prędko (*vulgo* sapały), roztoczyły wachlarze, które w ich rączkach rozwinęły się niby pawie ogony, i lekko pochylane, nawiewały na ich lica coś nakształt zefiru. Kawalerowie usiedli obok i nastąpiła chwila, w której dwie te pary osamotniały wśród balowego tłumu w dwóch przeciwnych sobie kątach salonu.

Dawno to już zauważano i wielokrotnem stwierdzono doświadczeniem, że na jaknajliczniejszym balu można być jaknajsamotniejszym, a co bardziej, można mieć jaknajwygodniejsze sam na sam z drugą osobą, wygodniejsze od rozlicznych *rendez vous*, naznaczanych zwykle w altanach, grotach, kioskach, laskach, na dolinach, spacerach, w odosobnionych

miejscach lub w sypialnych pokojach. W tego rodzaju miejscach, chociażby najodludniejszych, trzeba zawsze mieć się na baczności, bo zawsze grozi niebezpieczeństwo niespodzianego spłoszenia oddającej się sam na sam parze, lub podsłuchania przez niewidzianego świadka. Na balu ani spłoszonym, ani podsłuchanym być nie można. Kilka wyrazów, jak: „dziękuję, przepraszam, jestem zmęczoną“ i t. p. są bezpieczną przeciwko zakłócającym „sam na sam“ natrętom tarczą, a gwar rozmów, muzyka, szelest tańczących i chodzących, głusząc półgłosem wymawiane wyrazy, bronią doskonale od podsłuchów. Na balu wygodnie i bezpiecznie wypowiedzieć można wszystko, co komu na sercu leży.

Owóż, gdy pary nasze usiadły i gdy powrócił im normalny oddech, wszczęły się pomiędzy niemi niby szeptania, niby rozmowy, które dziwnym zbiegiem okoliczności, jednej były treści, chociaż w wyrazach i układzie frazesów zachodziła mała różnica.

— Ach! jak gorąco!... — mówiła panna, wachlując się zlekka.

— Ja gorąca, ani znużenia nie czuję — odparł kawaler, przymrużając wzrok i podnosząc rękę do wąsów, które jednym palcem delikatnie musnął.

— Pan nie czuje? — zapytała panna.

— Nie, pani — odrzekł kawaler z przymilem — uczucie rozkoszy, jakiej doświadczyłem, walcząc z panią, zgłuszyło we mnie wszelkie inne uczucia.

Panna zapłaciła kawalerowi za komplement ten długiem uśmiechowo-miłosnem spojrzeniem i po chwili ce milczenia odezwała się:

— Co za świetny bal!...

— Świetny — odpowiedział kawaler — a dlatego szczególnie, że uświetnionym jest obecnością pani.

— Pan graf (można także czytać ritter) niewyczerpanym jest w komplementach — zauważyła panna.

— W komplementach! — zawołał kawaler niezbyt głośno, ale wyraziście — ja jestem żołnierzem: mówię, co myślę, a myślę, co czuję... i wierz mi pani, że nie byłbym w stanie powiedzieć niezasłużonego komplementu.

— Więc nie powiedziałbyś pan tego, gdyby na balu była baronówna Kömeni?...

— Powiedziałbym — odparł kawaler rezolutnie i musnął wąsy dwoma palcami i pociągnął rękawiczki na palcach.

Pannie coś nakształt promiennej aureoli wystrzeliło z oczów i rozlało się po twarzy.

— Ale dlaczegoż baronówna nie zaszczyliła bału swoją osobą? — zapytał kawaler od niechcienia — wszak baronowa była zaproszoną...

— Była — odpowiedziała panna — ale wymówiła się chorobą, żalobą, smutkiem i tysiącem innych powodów.

— Panie namawialiście ją?...

— Namawialiśmy, prosiłyśmy... nic nie skutkowało...

— To mogła baronówna przyjechać z panią pułkownikową...

— Nie chciała... — odrzekła panna lakonicznie.

— Hm! — mruknął kawaler, poprawiając znów rękawiczki — ciekawa rzecz, z jakiego powodu?...

— Prawdziwego powodu nie powiedziała, ale,

pan graf domyślasz się zapewne... — rzekła panna zniżonym głosem.

— A... tak... tak... domyślam się... i nie mogę dość nadziwić się, że damy tak wysoko przez urodzenie i majątek postawione, takimi bawić się mogą dzieciństwami!... To się przebacza w pewnej mierze niższym klasom; można jeszcze zrozumieć, że zdziwaczył baron, który był przez całe życie dziwakiem; ale... baronowa... baronówna... hm!... to nie do przebaczenia...

— Sentymentalizm?... — wtrąciła panna.

— Pani staje w obronie dziwactwa!... — rzekł kawaler.

— O! nie... bynajmniej — rzekła panna — ale są pewne uczucia, którym kobiety obronić się nie mogą...

— Do pewnego stopnia — przerwał kawaler — jeżeli uczucie wchodzi w sfery trywialne, niskie, to wielkim jest nierozsądkiem ulegać mu i takiego uczucia tolerować nie można... Uczucia poniżej, ponieważ wierząc nie wolno...

— Tak... uczucia poniżej nie wolno... — powtórzyła panna i spojrzała na kawalera z wyrazem szlachetnego uczucia. — Nie wszyscy jednakże rozumieją to... Są w wyższych nawet sferach kobiety romansowe, zbyt mocno sentymentalne, lubiące ekscentryczność, kochające się w nadzwyczajnościach i tajemnicach...

— A!... *à propos* tajemnic — przerwał kawaler — jakże stoi tajemnica panny Kömeni?...

— Chcę właśnie mówić o niej panu... Baronówna jest ekscentryczką i zajęła się swoją tajemnicą...

— I nie można jej odkryć, zbadać?...

— Już zaczynają się pokazywać małe światelka z po za zasłony, zakrywającej ją...

— Jakież przecie?...

— Romansowe...

— O!... pani zaostrza moją ciekawość... Cóż pani wie o tym romansie?...

— Pan taki ciekawy!...

— Cóż w tem dziwnego!... To zresztą nie jest ciekawość, ale interes... Jeżeli nam wolno interesować się romansami zmyślonemi, któremi traktują nas powieściopisarze, to tem więcej rzeczywistemi...

— Ale pan mnie nie wyda?...

— Co za przypuszczenie!... — zawołał kawaler tonem oburzenia — dałem pani moje słowo honoru...

— Przechodząc raz mimo drzwi zamkniętych, zatrzymałam się nie chcąc i usłyszałam za drzwiami rozmowę, prowadzoną przez dwie osoby, i poznałam wyraźnie, że jedną z tych osób był... mężczyzna...

— To jest coś nadzwyczajnego!... — powtórzył kawaler.

Nastąpiło chwilowe milczenie. Panna nie miała co opowiadać; kawaler nie miał o co pytać się; więc para nasza pograżyła się w dumanie, z którego wyprowadziło ją przedymanie trąbek, fletów, klarynetów i w ogólności dętych instrumentów i odzywanie się rżniętych, strojonych przez muzykantów do nastąpić mającego tańca.

— Cóż pani — rzekł kawaler, podnosząc głowę i pociągając rękawiczki.

Panna odchrząknęła delikatnie.

Przechodzący jakiś kawaler we fraku i okuła-

rach, w białych jak śnieg rękawiczkach i w błyszczących jak lustro trzewikach, przechylił się z gracyą i rzekł:

— Czy mogę mieć honor prosić panią do francuskiego kadryla.

— Przepraszam — odrzekła panna — jestem zaangażowana.

Kawaler we fraku ukłonił się i odszedł:

— Nie lubię tańczyć z cywilistami — powiedziała panna, ułożywszy wzgardliwie usta.

— Więc to robi mi nadzieję, że będę miał honor tańczyć z panią — rzekł oficer.

— Najchętniej — odpowiedziała panna.

Odezwały się pierwsze akordy kadryla. Oficer podniósł się, podał pannie ramię i poprowadził ją ku środkowi salonu, a idąc, pochylił nieco ku niej głowę i mówił:

— Pani nie wszystko o tej tajemnicy opowiedziała.

— Dopowiem panu resztę później — odpowiedziała panna z uśmiechem.

— Ale kiedy i gdzie?...

— Pojutrze, o piątej wieczorem... w oranżeryi pałacu Kömeni.

Takie samo *rendez-vous* danem było przez drugą pannę drugiemu oficerowi... w galeryi malowideł pałacu Kömeni.

Jeżeli się czytelnik nie domyśla, to muszę mu powiedzieć, że obydwie owe *rendez-vous* nie tyle tajemnicę panny Elizy, ile coś innego miały na celu. Tajemnica służyła dla nich za pretekst. Ani panna Gertruda, ani panna Katarzyna nie wiedziały nic wię-

cej nad to, co grafowi i ritterowi powiedziały na balu. Napozajutrz po balu pierwsza przyjęła grafa w oranżeryi, druga rittera w galeryi. Zmrok wieczorny, samotność, fizyognomia miejsca, nadawały szczególny charakter tym przyjęciom. Panna Gertruda ulokowała się pod pomarańczowem drzewem po za cytrynami i kaktusami, i gdy jeszcze trwało oczekiwanie, patrząc przez okna na wieczorne niebo, nastroiła dumanie swoje na ton tej poezyi:

„Czy znasz tę krainę, gdzie kwitną cytryny?...“
powtarzając często, niby przygrywkę grającym w jej duszy dumaniom:

„*Dahin!... dahin!...*“

„*Möcht' ich mit dir, o mein Geliebter, ziehn!...*“

Egzotyczne drzewa i krzewy napelniały oranżeryę wonią. Wyobrażenia panny Gertrudy bujała po pomarańczowych i cytrynowych gajach, goniąc za austriackim oficerem, który wymykał się niby i przesuwiał się w gęstwinie, jakby obawiał się, aby żółty owoc nie spadł na niego i nie splamił mu białego munduru. Pannie Gertrudzie przyszło na myśl, że w takim wypadku lepiejby było, gdyby mundur nie był białym, ale żółtym; ale — przyszło jej także na myśl — jakby graf wyglądał w żółtym mundurze?... I gdy biła się z myślami, siedząc pod pomarańczą i patrząc przez okno na wieczorne niebo, niespodzianie stanął przed nią graf.

— Ach!... — wydarło się z piersi panny Gertrudy.

Graf pozdrowił ją elegancko i usiadł przy niej.

To samo, w tejże prawie chwili, zmodyfikowane z powodu odmienności miejsca i zastosowane nie

do pomarańczowych drzew, lecz do obrazów i malowideł, działa się w galerii pomiędzy Katarzyną i ritterem.

Rozmowy, jakie tu i tam się toczyły, były wariacyami na temat tajemnicy, opowiedzianej na balu. Miejsce danych i faktów zastępowały domysły i przypuszczenia, które wywierały ten tylko skutek, że rozbudzały ciekawość. Komentarzami do domysłów i przypuszczeń służyły: filozofia uczuć i fizjologia serca, które ubierały tajemnicę w nadzwyczajnie tajemnicze szaty, ale tak tajemnicze, że rozmawiającym parom wydało się, iż one o wszystkim wiedzą, chociaż o niczem nie wiedziały. Nic więc nie było rzeczywistego, na czem mogłyby oprzeć się owe rozmowy... Wśród zwiększających się ciemności, w zapale rozmowy, nieraz graf dotykał się panny Gertrudy, a ritter panny Katarzyny, i nawzajem: panna Gertruda dotykała się grafa, panna Katarzyna rittera. Suknie pańien jakoś nie chcąc układały się tak, że gdyby było jaśniej, możnaby pomyśleć, że należą one do mundurów rycerzy, jako część do całości. Niekiedy także niechcący, a zawsze w zapale, nóżka w atlasowym trzewiczku spoczywała na rycerskim lakierowanym bucie. W końcu zapał tak zaszedł daleko, tak uniósł rozmawiających, iż rycerze nie mogli się mu oprzeć; doprowadził on ich bowiem do takiej alternatywy: albo uklęknąć na jedno kolano i wyznać pannom miłość — albo zrejterować. A że pierwsze popsuloby im na wieki wieków wszelkie, aczkolwiek niewyraźne na baronównę Kömeni widoki, przeto wstrzymali się od pierwszego. A że do drugiego, byle tylko nie obrażało honoru, niemą żadnego wstrętu rycerstwo

austryackie, przeto zdecydowali się na drugie: zrejterowali, zmyśliwszy, że ich wzywa służba i złożywszy na rączkach pułkownikówien po pocałunku, za który zapłacono im westchnieniem i delikatnem uściśnieniem paluszkami.

Po takiej próbie nie mieli już ochoty rycerze na si narażać się na tentacye zapalu i pytając się od czasu do czasu o postępy odkryć na drodze tajemnicy, nie domagali się już *rendez-vous* ani w oranżeryi, ani w galerii. Nie odbierając jednakże zadowolających na zapytania odpowiedzi, postanowili ze swojej strony osobiście badać tajemnicę nadzwyczajnie ciekawą i drażliwą, bo pod postacią męczyzny ukrywającą się w sypialnym pokoju panny Elizy.

Z postanowieniem badania zrobiło się tak: graf myślał, że nikt inny go nie przedsięwziął, tylko on sam, ritter myślał, że nikt inny go nie przedsięwziął, tylko on sam. Ani jeden, ani drugi nie spodziewał się, ani przypuszczał, aby miał spółnika lub spółzawodnika w przedsięwzięciu.

Badania rozpoczęły się z pałacowego ogrodu, na który wychodziły okna pokoju baronówny. Lecz że pokój był na piętrze i okna wysoko wznosiły się ponad poziom ogrodowy, przeto zajrzeć przez nie do wnętrza nie było sposobu, lecz tylko można było wieczorami śledzić cienie, których sylwetki zarysowywały się na firankach i to w takim tylko razie, jeżeli w pokoju było światło, które pokazywało się rzadko, późno i na krótko. Nieraz długo trzeba było czekać i odejść z niczem, nieraz zajaśniało za firankami na chwilę, pojaśniało, zgasło, i znów z niczem trzeba było odchodzić. Niekiedy pojedynczym samo-

tnym cieniem przesunęła się po firankach postać kobieca, która zaledwo wzrokiem dała się zachwycić. lecz cierpliwość niemiecka odniosła w końcu tryumf. Po długim badaniu udało się rycerzom naszym ujrzeć dwa cienie, z których jeden był wyraźnie kobiecym, drugi wyraźnie męzkim i do tego olbrzymim. Widzieli je oni dwa razy. Za pierwszym razem cień kobiecy przesunął się i znikł, a na jego miejsce wysunął się powoli męzki i stał nieruchomie póty, póki światło nie zgasło. Za drugim razem obydwaj cienie wystąpiły na firankach i dostrzedz się dał pomiędzy nimi pewien ruch, który je to nieco oddalał, to zbliżał, nachylał i prostował, to łączył je z sobą niby w uścisku, to podnosiły się ręce cieniów, jakby do objęcia. Rycerze nasi zataili dech w sobie i całą istotność swoją ześrodkowali we wzroku i wyteżyli słuch, usiłując nadaremnie zasłyszeć cichą cieniów rozmowę, której domyślali się po ruchu ich głów. Nic, rozumie się, nie dosłyszeli, lecz utwierdzili się w przekonaniu, że tajemnica jest rzeczywiście romantyczną i przekonali się — o czem przez pół wątpili — że opowiadania pułkownikównie nie były utworem ich własnej imaginacji. Na tem jednakże kończyły się owoce obserwacji, czynionych z ogrodu. Dla dowiedzenia się czegoś więcej, należało dalej i czynniej posuwać poszukiwania.

Pewnego więc wieczora, o tak spóźnionej dobie, która wieczorem nazywa się przez grzeczność tylko dla wielkiego świata, mieniącego noc wieczorem, ale w której jest już ciemno zupełnie, nie wiadomo jakim sposobem ritter von Grüskenwürsten znalazł się w pałacu, na tem piętrze, na którym mieszkała baro-

nowa i na którym był apartament panny Elizy. Ritter sam jeden siedział w ciemnym pokoju, od którego drzwi stały otworem i wyprowadzały przez szereg innych pokoiów również ciemnych do przedsieni, z której wchodziło się do sypialni baronówny. Z miejsca, w którym ulokował się ritter, można było dojrzeć do przedsieni, bo kilka tych drzwi, które szły jedne po drugich, były na przestrzał. Po nocy nie wprawdzie widać nie było, ale gdyby w przedsieni pokazało się światło, to z łatwością można je było rozeznaczyć. Siedział ritter długo, nudził się straszliwie, kilkakrotnie podnosił się, chcąc odejść, ale za każdym razem siadał napowrót i wpatrywał się w otwarte drzwi, albo raczej w kierunku otwartych drzwi, bo zupełna ciemność nic widzieć nie dozwalała. Było przytem, jak nasz poeta powiada, „cicho wszędzie, głucho wszędzie,“ i wśród tej ciszy i ciemności oczekiwanie rittera miało w sobie coś zagadkowego. Tak czeka złodziej, zbój, czyhając na cudzy worek i życie, tak czeka czasem kochanek, tak czeka żołnierz na zasadzce, tak wreszcie czeka szpieg; a każdy z nich ma jakiś cel przed sobą — czeka na coś. Na co czekał ritter?...

Okolo jedenastej godziny zajaśniało światło w przedsieni. Czy ritter motylej był natury, że tak się zerwał do światła?... Zerwał się i lekko na palcach podbiegł do pierwszych drzwi, stanął i puścił wzrok ku światłu, w którym mignęła postać panny Elizy. Przez kilka chwil światło oblewało przedsiień i półświatłem coraz słabszem przedzierało się przez drzwi do ciemnych pokoiów. W ciszy nocnej rozległo się zgrzytnięcie klucza, sprężyna zamku zadzwono-

niła, drzwi stuknęły i światło znikło. Nastąpiła znów ciemność głęboka.

Ritter powstał jeszcze przez chwilę, odetchnął kilka razy, jakby chciał w płuca naciągnąć powietrza, i powoli, ostrożnie, na palcach, począł z pokoju do pokoju przechodzić, kierując się ku przedsieni. Idąc, zatrzymywał się często i oddychał, bo męczyło go to powolne stąpanie, a przytem, stawiając stopy na podłodze, zdawało mu się, że słyszy odgłos własnych kroków, że posadzka pod jego nogami ugina się, łamie; a jakby na złość — buty, które nigdy nie skrzypiały, wydawały skrzypienie, stawy w kolanach i w zgięciach stopy pękały, pulsa nawet tętniały głośno. Męczył się więc nasz rycerz i szedł i w duchu myślał, że się poświęca i że za takie poświęcenie nie może go ominąć nagroda, która mu się przedstawiała pod postacią baronówny Elizy Kömeni i jej milionów. Myślał także i o tym olbrzymie, którego cień widział na firankach; myślał o rozprawie, jaką przyjdzie z nim stoczyć. Powiedzieć trzeba, że tajemniczy ten olbrzym stawał w wyobraźni obydwóch rycerzy naszych w kształtach smoka lub potwora mitologicznego i wzbudzał w nich Herkulesowe i Tezeuszowe zapędy. Pałali żądzą zmierzenia się z nim.

Doszedł nareszcie Ritter do przedsieni. We drzwiach zatrzymał się, odetchnął tłumiąc w sobie oddychanie, i wzdłuż ściany puścił się ku drzwiom sypialnego pokoju panny Elizy. Wyciągniętą prawą ręką dotykał się ściany; szedł szybciej niż w pokojach, jakby chciał jednym susem skrócić sobie przestrzeń; namacałszy odzwiernek, zgiał się wpół, w ucho

jego wpadł odgłos rozmowy, wyciągnął więc głowę, nachylił ucho ku drzwiom, pochylił się całym ciałem naprzód... i...

I stuknął czołem o drugą głowę...

W pierwszym momencie rycerz nasz doświadczył takiego uczucia, jakby złapanym został na gorącym uczynku. Wyprostował się. Krew uderzyła mu do głowy.

Po chwilce na piersi Rittera oparła się jakaś ręka i dotknąwszy się piersi szybko kilka razy z dołu do góry, spadła rozwartemi a wpół-skurczonemi palcami na jego twarz. Rittera ogarnęła wściekłość. Wyciągnął on także rękę przed siebie i odrazu namacał szereg guzików metalowych, potem stojący kołnierz, nakoniec twarz i wąsy, i poznał, że ta twarz i wąsy unoszą się nad ciałem ludzkim, ubranem w mundur austriacki.

— Ritter fon Grüzkenwürsten...—szepnęły usta należące do twarzy obmacanej przez Rittera.

— Graf fon Hinterloch...—szepnął Ritter.

Nastąpiła chwila milczenia. Rittera wściekłość rosła, wzmagala się, poznał bowiem, że nie tylko złapanym jest na gorącym uczynku, ale złapanym przez rywala. Z uczuciami grafa to samo mniej więcej się działo. Lecz, bądź, że ten ostatni był zimniejszym, bądź, że umiał lepiej panować nad sobą, graf milczał, Ritter wybuchnął. Raptem, wśród ciszy nocnej, głośno, wyraźnie i z pewnym rodzajem gwałtownej deklamacji, zabrzmiały następujące wyrazy:

— Grafie!... ty podsłuchujesz?... hańbisz mundur, który nosisz na sobie!...

I po krótkim przestanku jeszcze gwałtowniej wymówiony dał się słyszeć dodatek energiczny.

Dodatek ten był finalem. Graf nic nie odpowiedział. Podniósł on rękę, jakby chciał zamierzyć się i uderzyć, lecz powstrzymał się, przypomniawszy snadź sobie, że pomiędzy ludźmi wysokiego urodzenia nie uchodzi, aby jeden drugiego bił w twarz. Obrócił się więc i odszedł. To samo uczynił i Ritter.

Potrzebaż doprawdy takiego zdarzenia, ażeby dwaj ci spółzałotnicy nie spotkali się nigdy z sobą w ogrodzie, pomimo, że ztamtąd jednocześnie robili sposprzeżenia na firankach. Tłómaczy się to tem, że każdy z nich wystrzegał się świadków i chociaż nie raz jeden drugiego zajrzał, ale zdaleka; a że to zawsze działo się wieczorem, wśród drzew i z zamiarem unikania jakichbądź świadków, jakimi przypuszczalnie mogli być domownicy baronowej lub żołnierze kwaterujący w pałacu, przeto rycerze nasi nie poznali się w ogrodzie i nic o sobie nie wiedzieli. Spotkanie się ich przy drzwiach panny Elizy było dla nich smutnym wypadkiem. Powrócili do siebie rozdrażnieni i rozjątrzeni. Graf złażał odźwiernego hotelu, w którym kwaterował, a który nazywał się: pod *Złotą Gęsią*. Ritter także złażał odźwiernego hotelu, w którym kwaterował, a który nazywał się: pod *Złotą gruszką*. Przyszedłszy do siebie, rozebrali się oni i położyli, ale świec nie gasili i usnąć nie mogli. Palili cygaro po cygarze, zrywali się i w pantoflach, zarzuciwszy szlafroki na grzbiet, chodzili po pokoju, znów się kładli, brali do rąk dzieła wojskowe, które służyły im jako niezawodne na bezsenność lekarstwo, nie nie pomagało, spać nie mogli... Nad rankiem graf

zasiadł do pisania. Z gorączkowem jakimś drżeniem chwycił ćwiartkę po ćwiartce listowego papieru, pisał i mazał, mazał i rozdzierał. W końcu ostatnią ćwiartkę złożył, zapieczętował, zaadresował i zawoławszy swego *priwat-dienera*, wręczył mu ją z takim rozkazem:

— Pójdź do hotelu pod *Złotą gruszką* i oddaj to do rąk własnych rittera fon Grüzkenwürsten!... Jeżeli śpi, niech go obudzą, bo to interes bardzo ważny i niecierpiący najmniejszej zwłoki!... I przynies mi odpowiedź!... Rozumiesz!..

— Rozumiem — odpowiedział służący i odszedł, i nie czekał na rozbudzenie się rittera, bo ritter nie spał. W kwadrans więc później miał już graf odpowiedź.

List grafa był taki:

„*Herr Ritter:*

„Aczkolwiek świat jest szerokim, ale po zdarzeniu wczorajszem stał się on ciasnym dla nas dwóch. Raz jeden i raz ostatni jeszcze w życiu możemy sobie w oczy spojrzeć na placu pojedynku. Uprzedzam listem niniejszym przyjście do pana sekundanta mego (którego, nie wątpię, pan spodziewasz się), dlatego, aby uprzedzić pana, że za powód do pojedynku chcę wziąć tylko to, żeś mi pan powiedział grubiaństwo. To tylko i nic więcej. Reszta niech zstąpi do grobu. Niech nikt nie wie, kiedy i gdzie wyrażenie to wymienionem zostało przez pana. Spodziewam się, że zrozumiesz pan powody mego żądania i zastosujesz się do nich.“

Podpis: „A. L. graf fon Hinterloch.“

Odpowiedź Rittera była następująca:

„Herr Graf.

„Rozumiem powody pańskie, które są także mo-
jemi, i zastosuję się do nich literalnie. Czekam na
sekudanta pańskiego.“

Podpis: „L. A. Ritter fon Grüşzkenwürsten.“

W parę godzin po zamianie tej korespondencji
pomiędzy hotelem pod *Złotą Gęsią* a hotelem pod
Złotą Gruszką nastąpiło krążenie oficerów austrya-
ckich, układających warunki pojedynku. Powód osą-
dzonym został powszechnie i jednogłośnie, jako aż
nadto dostateczny do najwyższego obostrzenia wa-
runków. Według zdania najkompetentniejszych, za
taką obelgę nie można było inaczej, tylko życiem za-
płacić. Dziwiono się, z kąd się wzięło ritterowi na-
zwać grafa tak nieprzyzwoicie; ale fakt obelgi, przy-
znany przez obie strony, istniał wyraźny; więc nie
o dziwieniu się, ale o reperacyi honoru trzeba było
myśleć. Postanowiono przeto takie warunki: bronią
mają być pistolety ciążnione; pierwsza meta odległą
będzie na kroków piętnaście, druga na siedem; przy
drugiej nieco przeciwnicy zatrzymają się i będą do
siebie strzelać razem i na komendę; po każdym strzale
odstąpią do pierwszej mety; liczba strzałów jest nieo-
graniczoną, na wybór stanowisk będą się ciągnąć
losy.

W oznaczonym więc czasie, około południa te-
go dnia, w którym się wyzwalali, ritter i graf spotkali
się z sobą za miastem, pod laskiem. Spotkali się od-
ważnie. Stanąwszy na drugiej mecie, wzniesli pisto-
lety, zmierzili jeden do drugiego, na wyraz: „dreil!“
wymówiony przez jednego z sekundantów, dwa strza-
ły padły, graf i ritter razem zwrócili się na miejscu

i obydwa padli... Sekundanci i doktor poskoczyli ku
nim, ale nie było po co. Przeciwnicy strzelili sobie
prosto do łbów i obydwa trafili... Za ciasnym wydał
się im szeroki świat, wynieśli się na szerszy, na któ-
rym zapewne dowiedzieli się, że śmierć ich była nie
reperacją honoru, ale karą za złe zrozumienie hono-
ru, karą, którą Opatrzność zsyła niekiedy na takich,
jak graf i ritter rycerzów, różniąc ich pomiędzy sobą
nie wiedzieć o co, jak Francuz powiada: „à propos
des bottes.“

XI.

Wieść o pojedynku pomiędzy grafem a ritterem,
a bardziej jeszcze wypadek pojedynku przeraziły tak
pułkownikową, jak panny Gertradę i Katarzynę. Od-
razu, w jednym oka mgnienu spletała się i porwała
całkowita tkanka najpiękniejszych nadziei, jakie sobie
te panie snuły. Pułkownikowa dostała spazmów, pan-
na Gertruda zemdląła, a gdy przy pomocy pułkowni-
ka, panien służących, kamerdynera i priwat-dienerów
powróciły do przytomności i zmysłów, to były takie
smutne a takie blade, że same siebie nie poznały
w zwierciadle, pomimo, że znajomość z samemi sobą
była ich najlepszą znajomością, a to dla tej przyczy-
ny, że bardzo często oglądały się w zwierciadłach.
„Och“ i „ach“ stały się najmilszemi ich wyrazami,
a myślenie o nieboszczykach najmilszem ich myśle-
niem. W jakiejże-bo chwili, jak piorun, spadła na
nie ta wiadomość!... Właśnie panny, po raz setny

już może, opowiadały matce wszystkie drobne i drobniejsze szczegóły owych rendez-vous w oranżeryi i galeryi malowideł.

— Drżała mu ręka — mówiła jedna — jękał się, zbliżał, wyraźnie chciał... już, już... ale... nie wiem dlaczego...

To samo prawie mówiła druga.

— W tem nie ma nic dziwnego — po raz setny tłumaczyła córkom matka — mężczyźni w takich razach są niesłychanie wobec kobiet nieśmiali.... Ja wiem o tem.. Ileż to razy...

Pułkownikowa się zająknęła, a panna Gertruda podchwyciła:

— Dlaczegoż mają być nieśmiali?... czegożby mieli się bać?... Graf taki odważny!.. ma nawet order za to, że rzucił się na armaty...

— Ritter ma order za to, że obronił armaty — dodała ze swojej strony panna Katarzyna.

— Co innego armaty, a co innego kobiety — odparła pułkownikowa i kiedy dopowiadała ostatniego wyrazu, wpadła wieść o śmierciach grafa i rittera i przerwała poufną matki z córkami rozmowę.

Po przejściu spazmów i mdłości nastąpiły płacze, potem ciche żale.

Żaloby i rozmyślania pułkownikównien wypadły bardzo pomyślnie dla bezpieczeństwa Szandora. Zapomniano o drzwiach zamkniętych i o tajemnicy, zaprzestano podglądać i podsłuchiwać, i bohater nasz spokojnie kończył swoją rekonwalescencję. Wprawdzie spokój jego raz tylko został zakłóconym, wówczas, kiedy nieboszczyki zrobiły hałas podedrzwiemi. Zmieszało to Szandora, lecz jeszcze bardziej pannę

Elizę, która spostrzegła, że jest od pewnego czasu pilnie strzeżoną, ale spostrzeżenia tego nie udzielała nikomu, a tem mniej Szandorowi, i tylko podwoiła ostrożność, zamykając pilnie drzwi, chodząc bardzo rzadko do chorego i na odwiedzenie go wybierając takie chwile, w których pewną była, że ani idąc, ani wracając, nie spotka się z nikim z Austryaków. Ta jej ostrożność była powodem, że pułkownikówny takie słabe czyniły postępy na drodze odkrycia tajemnicy.

O pobycie Szandora w pałacu wiedzieli, jak już mówiłem, wszyscy domownicy baronowej, ale nie wiedział żaden Austryak. Domownicy, gdy usłyszeli od Istwana taką przemowę: „baronka chce, abyście ani słowa nikomu nie mówili, że w pałacu ukrywa się ranny żołnierz“, daliby się, każdy z osobna, w drobne posiekać kawalki, a nie zrobiliby tego, czego baronka nie chce. Z ludzi obcych, nie mieszkających w pałacu, wiedział doktor, który z początku codziennie, a potem coraz rzadziej przychodził i który także zachowywał skrupulatnie najgłębszą tajemnicę.

Szandor przychodził szybko do zdrowia. Sztuka doskonałego lekarza w połączeniu z troskliwym pielęgowaniem, z wygodami i z młodością pacjenta, wyleczyły go z gorączki i goiły ranę tak, że codziennie znać było, jak mu powracały siły i zdrowie. Na parę tygodni przed pojedynkiem Szandor wstał z łóżka i przechadzał się po apartamentach panny Elizy, składających się z kilku pokoi, które wszystkie zostawione były na jego wyłącznie użytek. W cienkiej bielinie, w aksamitnym szlafroku, w miękkich pantoflach, dreptał nasz bohater po pysznych kobiercach i roz-

walał się w fotelach i na kanapach. O takim przepychu i wygodach ani mu się przyśniło nigdy. A jeżeli nie ten przepych, to te wygody wybornie mu służyły, bo wydelikatniał jak panicz i wypiękniał, i gdyby go podejrzwały w takim stanie pułkownikówny, wzięłyby go niezawodnie za potomka jakiejś znakomitej arystokratycznej rodziny, za którego z Esterhazy, Batyanich, Karolych albo Telekich, i nie wątpiłyby ani na chwilę o tajemniczo-romansowych stosunkach pomiędzy nim a baronówną Kömeni.

Co się tyczy stosunków pomiędzy Szandorem a panną Eliza, to te były takimi, jak pomiędzy chorym a dozorczynią, z dodatkiem wielkiej wdzięczności z jednej, a prawdziwego poświęcenia z drugiej strony. Szandor i panna Eliza kochali się miłością opartą na wdzięczności i poświęceniu i okraszoną wspólnością uczucia, jakiem ich serca biły dla sprawy węgierskiej. Szandor w pannie Elizie widział anioła-zbawcę, anioła-opiekuna i anioła-stróża i miał dla niej cześć, jak dla anioła; panną Eliza widziała w Szandorze walecznego żołnierza, którego życie i zdrowie było dla niej drogim, bo on to życie i zdrowie poświęcił na usługi ojczyzny. Innych stosunków pomiędzy nimi nie było i być nie mogło; o innych stosunkach Szandor ani marzył, pannie Elizie ani przez myśl nie przeszło. Bohaterowi naszemu, póki jeszcze był w gorączce i kiedy usługując mu, stała przed nim lub pochylała się nad nim baronówna Kömeni, zawsze zdawało się, że stoi przed nim i pochyla się nad nim Marijka Simiczówna, a kiedy przyszedł do przytomności, to zawsze Marijka

w oczach i w myśli mu stawała. On o niej mówił niekiedy z baronówną, nazywał ją swoją narzeczoną i uważał siebie zobowiązanym względem niej ślubem tak silnym i tak świętym, jak małżeński, a chcąc pochwałą wywdziękzyć się baronównie za troskliwość, powiadał:

— Wy, panno, podobniście do mojej narzeczonej... Nie jesteście podobni z twarzy... ale... nie wiem z czego... aleście bardzo podobni.

— Jakże wygląda twoja narzeczona?... — pytała go panna Eliza.

— O! moja narzeczona bardzo ślicznie wygląda...

— Czarne ma włosy?

— Nie, nie czarne.

— A oczy, jakie?

— Błękitne.

— A ile ma lat?...

— Siedemnaście.

— To chyba z lat tylko podobną jestem do niej—mówiła panna z uśmiechem.

— Nietylko z lat—odpowiadał Szandor—ale... nie wiem z czego... Dość, że kiedy patrzę się na pannę, albo kiedy panna przemówi, to mi się natychmiast przypomina Marijka.

Szandorowi wydawało się, że większego komplementu nie mógł baronównie powiedzieć, jak porównać ją ze swoją kochanką. Wzamian za te komplementa panna Eliza udzielała mu wiadomości z teatru wojny.

Wiadomości te dwójki były rodzaju: niepo-myślnie i pomyślnie. Pierwsze pochodziły od Austrva-

ków i z gazet wiedeńskich, któremi Peszt był napełniony; drugie przynosił zwykle Istwan z miasta, czerpiąc je nie wiadomo z kąd i udzielając ich pod sekretem baronowej i pannie Elizie. Te ostatnie krążyły po Peszcie cicho, jak kontrabanda. Rozprawiano o nich półgłosem, oglądano się, gdy mówiono, że Węgry nie tak źle stoją, jak o tem Austriacy mówią i piszą.

A jednakże, pomimo tajemnych pocieszających wiadomości, Węgry przez całą zimę bardzo nieszczęśliwie stali. Odrzuceni za Cisę i do północnych komitatów, rozdzieleni na drobne korpusy, nie mogli nic stanowczego przedsięwziąć. Słychać było, że oblegają Arad, ale nie było słychać, żeby go zdobyli; rozchodziły się wieści o potyczkach, ale potyczki pozostawały bez rezultatów. Austriacy zajmowali stolicę, oblegali Komorno, wzmacniali swoje siły, obsadzali ważniejsze stanowiska, fortyfikowali się, koncentrowali wojska i głośno zapowiadali, że z pierwszymi dniami wiosny zgniotą buntowników na miazgę.

W pierwszych dniach marca zaczęto po mieście szeptać dwuznacznie o Kapolnie, chociaż w gazetach wyraźnie i obszernie opisywali Niemcy o świetnem zwycięstwie, jakie pod Kapolną odnieśli.

W parę dni później, zrana, baronowa i panna Eliza siedziały w ustronnym saloniku, w którym miały zwyczaj przesiadywać dla jak największego odosobnienia się od nieproszonych gości, zajmujących pałac. Raptem drzwi się otwarły i wpadł Istwan. Twarz starego zdradzała silne jakieś wzruszenie; oczy mu błyszczały; włosy, które zwykle starannie przyczesywał, były tym razem w nieładzie.

Baronowa spojrzała na niego pytającym i nieco zdziwionym wzrokiem, bo nigdy w życiu w takim stanie marszałka swego dworu nie widziała. Istwan stanął przed baronową, odetchnął kilka razy tak, jakby mu w płucach powietrza zabrakło, oczy jego śmiały się zachwytem radości, chciał mówić—ale nie mógł.

— Istwan!.. co ci jest?..— rzekła panna Eliza—wstając i podchodząc ku niemu.

— Panno!... — zawołał nareszcie Istwan — kochana moja baronko!... — i złożył ręce jak do modlitwy i wznosił je do góry.

— Co ci jest?... Istwan!... — powtórzyła panna Eliza z przerażeniem, myśląc, że stary marszałek może zwaryował.

— Nasi zwyciężyli!.. — krzyknął Istwan — zwyciężyli!.. — rozbili w puch... rozpędzili na wszystkie wiatry... Niemców... pod Solnokiem!..—powtórzył dobitnie—wzięli wszystkie niemieckie armaty!... wszystkich niemieckich generałów!... wszystkich Niemców wybili, wytopili, wylapali!...

Zapał starego coraz wzrastał.

— Baronko moja!... panno kochana!... — ciągnął dalej — nasi zwyciężyli!... *Lengyel*-ułani i *Magyar*-huzary wykłuli, rozsiekali... wyrabali niemieckich kirasyerów i dragonów!...

— Cicho!... — rzekła baronowa powoli, wyciągając ku Istwanowi rękę.

Ale stary nie był w stanie panować nad sobą. Radość wezbrała w nim nad miarę. Zrozumiał on znaczenie wyrazu „cicho“ i gestu baronowej i umilkł na chwilę. Baronowa była spokojną. Panna Eliza

przyciskała piersi swoje rękoma, łzy rzęsiste toczyły się jej po policzkach, a usta wymawiały wyraz. „ojciec“ i imiona braci i szwagra i jeszcze jakieś inne, którego dosłyszeć nie było można.

Istwan pasował się sam z sobą. Nie wiedział, jak wynurzyć radość swoją niemym sposobem. Rozpromienionemi oczami spoglądał przez chwilę na pannę swoją i upadł przed nią na kolana i porwawszy jej rękę, przycisnął ją do ust, a obracając się do panny Elizy, wyciągnął do niej ramiona i przygarnął ją do siebie. Baronówna, uniesiona wzruszeniem, pochylała się w objęcia starego sługi, objęła jego głowę i łzy jej spłynęły mu na twarz. Baronowa milczała, a stary powtarzał: zwyciężyli!... rozbili!... rozbili!... zwyciężyli!... Ton wyrazów tych, wymawianych zrazu cicho, wzrastał za każdym powtórzeniem i, że tak rzekę, rozpałał stopniowo Istwana i kiedy doszedł pewnego donośnego stopnia wysokości, Istwan zerwał się, oczy jego pałały groźbą, wznosił prawą rękę do góry:

— Ot, teraz pójdę — zawołał — i temu... tam na dole... łeb rozwalę!... Porwę za nogi i głowy o mur porozbijam tym flądrom, które nam pałac zapaskudziły!...

Z twarzy i z oczów starca można było czytać, że w nim krew Hunna zagrała.

Baronowej lekko usta zadrżały, a przez oczy jej jakaś błyskawica przesunęła się i znikła. Wyciągnęła ona znów rękę i rzekła spokojnie:

— Bądź cicho, Istwan... Może ta wiadomość, jak wiele innych, nie sprawdzi się...

Istwana, jakby kto zimną wodą oblał.

— Sprawdzi się — odparł cicho — wszyscy o tem mówią.

— Przynieś mi gazety — powiedziała baronowa.

Istwan wyszedł i wkrótce wrócił z gazetami. Baronowa przebiegła je oczyma, wstała, udała się do pokoju, w którym był klęcznik, uklękła i modliła się. Panna Eliza odczytała głośno gazety. W nich była krótka wzmianka o Solnoku, zwiastująca czytelnikom, że wskutek planu, dla strategicznych powodów, korpus wojsk cesarskich, który stał w Solnoku, cofnął się do Cegledu, i że hordy buntowników, które temu ruchowi usiłowały przeszkodzić, zostały zwyciężko odparte. Był przytem dodatek, że skutkiem opuszczenia przez cesarskie wojska Solnoka miasto to, jak słychać, zajętem zostało przez Węgrów.

— A nie piszą tam — zapytał z drwiącą miną Istwan — że dla ulżenia sobie zapewne pochodu, oddali Niemcy buntownikom wszystkie bagaże i armaty?...

— Może nie oddali, może mylnie masz wiadomości... — zauważyła baronówna.

— Ale!... mylnie!... — odparł Istwan. — Zobaczmy!... i zabierał się do odejścia; ale, jakby przypomniał coś sobie, wrócił się od proga i dodał:

— A gdyby o tem powiedzieć rannemu huzarowi, to onby wyzdrowiał odrazu...

Każdy z następnych dni przynosił nowe szczegóły, sprawdzając wiadomość Istwana o bitwie i zwycięstwie pod Solnokiem. Rozumie się, że szczegóły owe powiększały rzeczywistość ogromnie i zwycięztwu nadawały olbrzymie rozmiary. Zabitych Niemców obliczano na dziesiątki tysięcy, jeńców, wziętych

przez Węgrów także na dziesiątki tysięcy, harmaty na setki. Cieszą się harmatami i zastanawiano się nad tem: co Węgry zrobią z taką ilością jeńców?... Jedni byli tego zdania, żeby jeńców użyć do sypiania okopów; drudzy twierdzili, że okopy Węgom są niepotrzebne, więc lepiej zaprzędnąć Niemców do pługów i orać nimi ziemię; innym się zdawało, że najlepiej byłoby wszystkich niewolników w pień wyciąć i dokoła madiarskiej krainy powbijać słupy, a na każdym słupie zatknąć głowę niemiecką na postrach dla Niemców. Rozprawy tego rodzaju toczyły się po większej części pomiędzy Madiarami, z oglądaniem się na wszystkie strony i z wystrzeganiem się zbyt uczynnych świadków, jakimi byli Austriacy. A chociaż tym ostatnim nie mówili Madiary, że chcą nimi sypać okopy, orać ziemię i ich łbami wytykać granicę, miny ich jednakże w marcu 1849 roku strasznie marcowo wyglądały.

Echo rozlicznych tych wieści o pomyślności oręża węgierskiego ustami panny Elizy przedzierało się do Szandora i wywierało na nim taki skutek, jakiego spodziewał się Istwan. Pod wpływem pomyślnych wieści, bohater nasz potężniał w zdrowiu i siłach.

— Trzeba mnie już podziękować wam za starania i iść — powiedział.

— Gdzie? — zapytała panna Eliza.

— Do pułku...

— Bez pozwolenia doktora iść nie możesz...

Trzeba, żeby pierwszej zagoiła się rana, a potem trzeba poczekać aż przyjdą nasi, bo Austriacy mogliby cię złapać...

— O! czekać nie będę!... — odparł stanowczo

Szandor. — Znam wszystkie przechody... nie dam się złapać...

Około dwudziestego marca, doktor, opatrzywszy Szandora, wybadawszy i za pomocą instrumentów wyauskultowawszy jego piersi, powiedział mu.

— Jesteś zdrow zupełnie.

— Gdzież są nasi?... — zapytał go na to Szandor.

— Nasi... — odparł doktor, uśmiechnął się i pomyślawszy przez chwilę, dodał:

— Muszą być teraz w okolicy Tissa-Füred, albo Jagru.

I Szandor natychmiast za pierwszym widzeniem się upomniał się u baronówny o swój mundur, bieliznę i buty dlatego, że mu się nie zdawało, aby mógł puszczać się w podróż w aksamitnym szlafroku, batystowej bieliźnie i miękkich pantoflach. Żądaniu jego jednakże nie można było uczynić zadość, mundur bowiem został przez ostrożność spalonym, bielizna i buty gdzieś się zapodziały. Baronówna więc, która nie miała najmniejszego powodu sprzeciwiać się woli swego ex-pacyenta, ani możliwości umundurować go, zdała całą tę sprawę na Istwana, który wyszukał spencer, buty, bieliznę i kapelusz, i ustroił Szandora nie po huzarsku wprawdzie, ale po węgiersku. Tego samego jeszcze wieczora bohater nasz pożegnał baronową i pannę Elizę.

W pożegnaniu Szandora z jego dobrodziejkami było coś, co możnaby nazwać dziwnem. Baronowa żegnała go, jakby wyprawiała posłańca z listem. Kiedy on ją pocałował w rękę, ona mu powiedziała:

— Idź, a bij się dobrze!...

Szandor dziękował za pielęgnowanie, jakiego

doświadczył w chorobie, nazwał baronową matką, która mu dała życie. Pani nic na to nie odpowiedziała. Dziękował on i pannie Elizie i kiedy do niej przemawiał, słowa zamierały mu w gardle, pierś przepełniała się jakimś dziwnym wzruszeniem.

— O!... jak o wszystkim, czegom od pani doznał — mówił do baronówny — opowiem mojej narzeczonej, jakże ona będzie wdzięczną!...

— Bądź ostrożnym, żeby cię nie złapano, za nim dostaniesz się do pułku — odpowiedziała mu baronówna, i głos jej drżał zlekka, jakby zdradzał słaby odcień troskliwości o bezpieczeństwo tego, któremu uratowała życie.

Szandor wyszedł. Istwan wyprowadził go tylnymi drzwiami na ogród; w ogrodzie spotkał ich przewodnik, który tam czekał z polecenia Istwana i który przez mur ogrodowy, przez jakieś boczne uliczki, przedmieściami przez winnice, wyprowadził Szandora za Peszt.

Noc była ciemna. Szandor w milczeniu szedł za przewodnikiem i rozmyślał nad dziwnym zrządzeniem losu, który mu pozwolił pańskich użyć rozkoszy. Za miastem przewodnik zatrzymał się.

— Oto twoja droga — rzekł do Szandora i ukazując ręką na prawo, dodał:

— Tam idzie trakt wielki, który prowadzi do Gödölö... Na tym trakcie możesz spotkać się z Niemcami; ale na tej drożynie nie spotkasz ich, a choćbyś i spotkał, to góry i lasy potrafią cię ukryć przed nimi... Wsie po drodze będziesz miał madiarskie... Idź z Bogiem... a bij Niemca!...

Szandor puścił się w ukazanym sobie przez

przewodnika kierunku i w pierwszej wsi, jaką nadejściem spotkał na drodze, a która była w tej samej co Gödölö od Pesztu odległości, dostał towarzyszków i przewodników; była to bowiem wieś madiarska, z której kilku młodych ludzi wybierało się do wojska. Z nimi więc ruszył dalej, trzymając się zawsze dróg ubocznych, minął Hatwad, przeszedł przez Gyöngyös i w Verpeleae, po raz pierwszy po chorobie, zatrzymanym został przez warty węgierskie. Zabiło mu serce mocno, kiedy usłyszał okrzyk:

— *Aj!... ki wot!...* (stój!... kto idzie!...)

— *Swój!...* — odpowiedział — *Madiar!...* huzar!... wracający do pułku...

Odprowadzono go wraz z młodymi ochotnikami do najbliższej placówki, z placówki do strażnicy, a ztamtąd do głównej kwatery, jako takiego, który według własnego zeznania, przychodził z okolic zajętych przez nieprzyjaciela. W głównej kwaterze zadano mu kilka zapytań, tyjących się stanowisk i sił nieprzyjacielskich. Szandor nie umiał na nie odpowiedzieć, ale za to towarzysze jego opowiedzieli z najdrobniejszymi szczegółami: ile wojsk i jakich znajduje się w Peszcie, w Budzie i w okolicach, jakie wojska stoją po kwaterach, a jakie w obozach, z kąd się ściągają, jakiej siły posterunki zajmują Gödölö i Hatwad, odpowiedzieli, że pomiędzy Gödölö a Isaszeg sypią Niemcy okopy, i t. d. i t. d.

Z głównej kwatery ochotników odesłano do Honwedów, a Szandora do pułku.

Pułk Szandora stał w jednej wsi, w pobliżu Verpeletu.

Wszedłszy do wsi, Szandor spotkał kilku huza-

rów, poznał odrazu mundury, ale nie poznał ludzi i jednego z nich zapytał o swój szwadron.

— Hej, *pajtasz!*... — rzekł — a gdzie jest pierwszy szwadron?...

— Pierwszy szwadron!... — odparł huzar — a na co ci pierwszy szwadron?...

Chcę się zameldować.

— Melduj się lepiej do innego szwadronu, bo w pierwszym pełno... Ochotników już nie przyjmują... Ja mogę ci o tem najlepiej powiedzieć, bo jestem z pierwszego szwadronu.

— Ochotników może nie przyjmują, ale mnie przyjmą — odrzekł Szandor...

— Huzar zaklął, wziął się w boki, zmierzył Szandora od stóp do głowy i poprawiając szako na głowie, powiedział:

— Ot... jaki mi pyszny!... To ty myślisz, że dla ciebie będą osobno kluski gotować?... Kiedy nie przyjmują innych, to i ciebie nie przyjmą...

— Żartujesz, *baraton!*... — rzekł Szandor. — Odprowadź-no mnie tylko do kwatery wachmistrza, to zobaczysz...

— Na złość tobie, odprowadzę cię!... — zawołał huzar, tknięty do żywego tonem, jakim Szandor wymówił ostatnie wyrazy — zobaczysz!...

Huzar poszedł przodem, Szandor za nim. Nie szli długo, bo kwatera wachmistrza była niedaleko. Huzar wchodząc, zaledwie stanął na progu chałupy, przemówił głośno:

— Panie wachmistrz!... przyprowadzam ochotnika, który nie chce wierzyć, że do naszego szwadronu już nie przyjmują.

Wachmistrz, który siedział przy stole i zajęty był układaniem jakiegoś bilansu szwadronowego, gniewny, że mu przeszkodzone, odwrócił się, zmaršczył, odchrząknął, pociągnął garścią wasy i zawołał:

— Idź do dyabła!... i ty i twój ochotnik!...

— A widzisz!... — rzekł huzar do Szandora i chciał powiedzieć: nie wierzyłeś?... — Ale bohater nasz wysunął się z po za niego na środek izby, stanął przed wachmistrzem w wojennej postawie, odsalutował i meldował:

— Mam honor meldować panu wachmistrzowi, że byłem raniony pod Pesztem... wyleczyłem się... byłem w głównej kwaterze i z głównej kwatery odesłano mnie do mego pułku, do pierwszego szwadronu, w którym służę...

Wachmistrz popatrzył pilnie na Szandora.

— Jak się nazywasz?

— Szandor Kowacz...

— Powiadasz, żeś był raniony?...

— Byłem raniony!...

— Pod Pesztem?

— Pod Pesztem.

— W jakim leczono cię szpitalu?

— Nie leczono mnie w szpitalu, ale w jakimś pałacu u jakiejś wielkiej pani.

— Hm!... — mruknął wachmistrz i sięgnawszy po rejestra, począł je przewracać i na każdej stronicy po pierwszej rubryce, w której zapisane były imiona i nazwiska żołnierzy, ciągnął palcem z góry na dół, a zatrzymawszy palec nad jednym nazwiskiem, począł sunąć nim horyzontalnie od lewego na prawo i czytał pod nosem:

Szandor Kowacz... urodził się: tam i tam... dnia takiego i takiego.. roku...i t. d., i na prawym skraju strony w adnotacjach wyczytał:

— Zabity w podjazdowej potyczce.

A zwracając się do Szandora, rzekł:

— Ty jesteś zabity

— Ja byłem raniony, panie wachmistrz... — odrzekł Szandor:

— Tu napisano żeś zabity... — I wzięwszy rejestra do rąk, odczytał jeszcze raz głośno i wyraźnie:

— Zabity w podjazdowej potyczce...

— Ależ ja żyję, panie wachmistrz... — rzekł Szandor.

— To coś z tego, że żyjesz — odparł wachmistrz — kiedy napisano, żeś zabity... Co napisano, to napisano... Możesz sobie sto razy żyć, a tego, co napisano, nie wymażesz...

— Ale mnie pan wachmistrz poznaje...

— Hm!... poznaje!... to i coś z tego?... Mogę ja ciebie poznawać, ale nie mogę powiadać, żeś nie zabity... Zapewne, że poznaję — dodał po chwili, patrząc na Szandora i gładząc wąsy — wydelikatniałeś jak panicz...

Szandor nie rozumiał, o co wachmistrzowi chodzi.

— Coś mi pan wachmistrz rozkaże?... — rzekł po chwili milczenia:

— Nie mam ci nic do rozkazania — odparł wachmistrz. — Rozkazuję tylko huzarom pierwszego szwadronu, a ty nie jesteś huzarem, boś zabity i jako taki, wykreślony z kontroli... Więc powiem ci tylko, żebyś poszedł precz i nie przeszkadzał mi!...

I wymówiwszy to, wziął się wachmistrz do przerwanej roboty.

Szandor nie mógł pojąć tego formalizmu rejestrowego. Wydał się mu on dziwactwem. Zrobiło się mu przykrem takie zaliczenie do nieżywych wówczas, kiedy on czuł w sobie pełnię życia, sił i ochoty.

— Pójdę do rotmistrza — rzekł, obracając się ku drzwiom.

— Idź do kroćset dyabłów! do miliona fur karcaczów i granatów!... — Erzyknął wachmistrz, zrywając się. — Rotmistrz służby nie rozumie, ale ja rozumiem i nie pozwolę paskudzić kontroli!... Rotmistrz rejestrów nie utrzymuje, ale ja utrzymuję!... ja!... rozumiesz?... Otóż ja nie jestem takim błaznem, abym pozwalał na zmartwychwstanie raz zabitych!...

Szandor wyszedł.

— Chodź... poprowadzę cię do rotmistrza — rzekł do niego huzar, który wysłuchiwał całej jego z wachmistrzem rozmowy i także nie mógł pojąć, dlaczego ten ostatni nazywa zabitym człowieka, który żyje i którego poznał.

— Naszemu wachmistrzowi, jak co siądzie na nos, to siedzi mocniej, niż najlepszy huzar na koniu — mówił, idąc obok Szandora. — A że nasz wachmistrz ma wielki nos, to mu bardzo często coś na nim siada...

Huzar śmiał się, rad z dowcipu Szandorowi było bardzo markotno.

Rotmistrz poznał naszego bohatera odrazu i ujrzawszy go ucieszył się bardzo, chociaż nie był



to ten sam rotmistrz, z którym zabraliśmy znajomość w stołole. Tamten awansował na majora, a jego miejsce zajął jeden z poruczników, który znał dobrze Szandora dlatego, że dowodził dawniej plutonem, w którym on służył. Szandor wytoczył przed nim swoją sprawę

— Idź do wachmistrza, niech zażąda dla ciebie konia z rezerwy, munduru i broni z magazynu, i niech ci wyznaczy miejsce w szeregu — rzekł rotmistrz, wysłuchawszy Szandora.

— Byłem u wachmistrza—odparł Szandor nieśmiało.

— I cóż?...

— Wypędził mnie od siebie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że powiada, że jestem zabity.

— Cóż znów takiego!... — zawołał rotmistrz. — Zawołać mi tu wachmistrza.

Po przybyciu tego ostatniego, wytoczył się ciekawy proces. Wachmistrz przyszedł z papierami i opierając się na dokumentach, dowodził, że Szandor nie żyje. Nie dość na tem: wezwał świadków — podoficera, który dowodził podjazdem, i żołnierzy, którzy do podjazdu należeli. Wszyscy oni poznali Szandora, ale o tem ani chciał słuchać wachmistrz.

— Poznaliście go!... i ja go poznałem.. i pan rotmistrz poznał!... ale tu nie o to chodzi!... Czy byliście wysłani z podjazdem za Peszt?

— Byliśmy...—odpowiedziały huzary chórem.

— Czy był z wami Szandor Kowacz?

— Był.

— Czy powrócił z wami Szandor Kowacz?

— Nie powrócił.

— Czy nie widzieliście, jak on padł?

— Widzieliśmy.

— Czy nie odraportowaliście mi, że Szandor Kowacz jest zabity?

— Odraportowaliśmy.

— Otóż jest!...—zawołał wachmistrz, pokazując rotmistrzowi kontrolę.—Naprzeciwko Szandora Kowacza napisano: zabity w podjazdowej potyczce... To znaczy, że Szandor Kowacz wykreślonym jest z kontroli... nie tylko w szwadronie, ale w pułku... nie tylko w pułku, ale w brygadzie... nie tylko w brygadzie, ale w dywizji, w korpusie, wszędzie... bo ja napisałem raport, który pan rotmistrz podpisał, i ten raport poszedł do pułku, do brygady, do dywizji, do korpusu... i wszędzie tam Szandor Kowacz jest zabitym... Jakżeby on mógł odżyć w szwadronie?...

— Przecież widzisz go przed sobą, i ja widzę, i oni widzą!... — rzekł rotmistrz, uśmiechając się i ukazując ręką na przywołanych na świadectwo żołnierzy. — Przecież to ten sam Szandor Kowacz!...

— Może on być i ten sam!...—odparł obstający przy swoim stary wachmistrz. — Ale... na cóż pisać, jeżeli nie mamy wierzyć temu, co napisano!... Oto tu, wyraźnie stoi, że zabity, to musi być zabity!... Cóż z tego, że widzę go przed sobą?... Ja bardziej wierzę temu, co napisano, niż temu, co widzę!...

Rotmistrz chciał się gniewać, ale nie mógł, tak bawił go formalistyczny upór wachmistrza i, nie bez zadawania sobie pewnego gwałtu, zachowywał powagę i seryo naczelnika.

— Ależ przecie—rzekł do wachmistrza—i o tem.

co napisane, i o tem co widzisz, przez patrzanie sądzisz... Mogłeś się w piśmie omylić.,

— Tak... panie rotmistrzu! — przerwał wachmistrz — mam honor meldować panu, że pisanie jest czarnem na białem, a to, co widzę... czem jest?... Ja mogłem się omylić, chociaż, z przeproszeniem, mam honor meldować panu rotmistrzowi, że nie może mylić się wachmistrz, będący przez szesnaście lat wachmistrzem; ale, chociażbym się i omylił, to nie omylił się pułk, brygada, dywizya, korpus i na koniec naczelna komenda, które wszystkie przyjęły raport napisany przezemnie i podpisany przez pana rotmistrza, i wykreśliły Szandora Kowacza z kontroli i zaliczyły go do zabitych!.. Jakże on potem mógłby ożyć?... To być nie może!... to niepodobna!... Jest czarno na białem, że on zabity, to musi być zabity!..

Żołnierze, przywołani na świadectwo, ujęci dobitną wymową wachmistrza, którego znajomość służby była autorytetem w całym pułku, zaczęli już przekonywać się, że Szandor, chociaż żyje, ale, podług formy, nie żyje. Sam Szandor nie wiedział, co myśleć o swoim życiu. Takie niespodziane a dowodne i dokumentalne zaprzeczenie jego egzystencji zbilo go z tonu i wprawilo w pewien rodzaj powątpiewania o sobie samym, tak, że już gotów był prawie zadać sobie owo filozoficzne pytanie: jestem, czy nie jestem?... Szczęściem rotmistrz rozstrzygnął tę sprawę rzadkim sposobem, bo z zupełnem obydwóch stron zadowoleniem.

— Więc on zabity?...—zapytał wachmistrza.

— Zabity!... panie rotmistrzu—odparł wachmistrz stanowczo.

— I nie żyje?...

— A nie żyje.

— Niechże on sobie nie żyje, a ty tego Szandora Kowacza, którego widzisz przed sobą, zaciągnij do kontroli szwadronowej, jako nadliczbowego ochotnika.

Wachmistrz nic nie odpowiedział, odsalutował rotmistrza podniesieniem dwóch palców do czoła, tu zrobił na prawo w tył i wyszedł. Za nim udał się Szandor i szedł z pewną nieśmiałością, spodziewając się, że stary, rozgniewany procesem, na jaki z jego powodu został narażonym, da mu uczuć zły humor. Lecz omylił się. Wachmistrz, przyszedłszy do kwatery swojej, nie tylko nie okazał złego humoru, ale przeciwnie, bardzo był z siebie kontent.

— Chcieli mnie zrobić oficerem — powiedział sam do siebie i zaklął najdosadniejszą madiarską klątwą. — Dobrze zrobił, że nie przyjął... Cóżby się to działo bezemnie w szwadronie!... Haj-ha!...

A pomyślawszy przez chwilę i zasiadając przed stołem, dodał:

— Hm!... pokazuje się, że żeby być dobrym wachmistrzem, trzeba przynajmniej przez szesnaście lat być wachmistrzem!... I ja dawniej nie miałem tego rozumu, co dzisiaj...

I rozłożywszy przed sobą papiery, z całą formalnością i powagą, protokolarnym sposobem, wpisał Szandora do kontroli, jako nowozaciężnego, a dopełniwszy skrupulatnie całej formalności, napił się z nim wina i odesłał go do właściwego plutonu.

I tak bohater nasz, po raz drugi, w tym samym szwadronie i plutonie, rozpoczął karierę wojskową.

Służba jego dawniejsza przepadła, bo poprzedni stan służby zamknięty został wyrazem zabity. Ale nie chodziło mu o to, i bynajmniej to go nie troszczyło: on bowiem nie dla stanu służby, lecz dla innych służył pobudek.

Koledzy przyjęli go z najżywszą radością. Szóstka jego, z którą on stowarzyszył się na śmierć i na życie, nadszarpła się nieco, znalazł w niej jednakże jeszcze czterech. Lajos żył. Z tych, którzy się jednocześnie z nim zwerbowali w Szegiedynie, brakło niewielu. Podoficera dostał nowego, bo dawny zginął. Rotmistrz był nowy; dwóch oficerów nowych; a zresztą, wszystko jak było. Wachmistrz szczególnie nie zmienił się ani na jotę, nic mu nie przybyło, ani ubyło; potężny nos pozostał takim potężnym i takim czerwonym, jak przedtem, miotły białych wąsów nie zmieniły koloru, kształtu, ni wielkości.

W parę dni po reinstalacji swojej w szwadronie zrobił się nasz Szandor nanowo od stóp do głowy huzarem. Wojska, jakby umyślnie czekały na miejscu na uekwipowanie się naszego bohatera, bo zaledwie to zostało uzupełnionem, zdjęły się z leż i poszły w marsze. I niedługo marsze były prostemi przechodami z miejsca na miejsce. Nastąpiły bitwy: pod Hatwan, Tapio-Biczko, Isaszeg, pod Wacowem, Nagy-Szarlo i Komornem. Każda bitwa była zwycięstwem, w każdej pułk Szandora potykał się z nieprzyjacielem i wszędzie szczęście sprzyjało huzarom, wyjawszy pod Komornem, gdzie ich opuściło na chwilę. Lecz i tam, gwałtem prawie, ściągnęli oni szczęście pod swoje sztandary.

Opisując losy pojedynczego człowieka, gubiące-

go się drobnocią indywidualności swojej w odmęcie owoczesnych wypadków, nie uważałem za potrzebne, albo raczej godziwe podszywać niemi bohatera powieści, dlatego, że podnosząc je, albo utopiłbym w nich bohatera mego, tak, iżby go odszukać nie było można, albo pokrzywdziłbym wypadki, naginając je do niego. Prześlizgiwałem się przeto po historyczności, uciekając się do niej wówczas tylko, gdy, jako objaśnienie, koniecznie była potrzebna, biorąc ją, jako tło ogólne, na którym kreśliłem dobiegającą już do kresu powieść. Spodziewam się jednakże, że mi czytelnicy przebaczą, gdy, odstępując nieco od obranego prawidła, podniosę jeden z faktów historycznych — odmaluję obraz bitwy pod Komornem, w której bohater nasz wziął udział.

Po bitwie pod Nagy-Szarlo, cofając się, armia austriacka przerzuciła się na prawy brzeg Dunaju i podążyła pod Komorno, gdzie połączyła się z korpusem, który oblegał tę twierdzę. Zwycięzka armia węgierska nie mogła w ślad za austriacką przeprować się przez Dunaj i ścigać jej prawym brzegiem dlatego, że przeprowaćby się musiała przez szeroką rzekę na brzeg zajęty już przez nieprzyjaciela, i dlatego jeszcze, że po przeprowie odrywała się od swoich podstaw, które były na lewym brzegu, i dlatego także, że narażała się na spotkanie ze wzmocnionym świeżemi wojskami nieprzyjacielem. Z tych powodów Węgry z Nagy-Szarlo pomaszerowali do Komorna, gdzie przeprowę ułatwiała im i zabezpieczało posiadanie fortecy, leżącej na wyspie, u zbiegu Waa-gi do Dunaju i mocnego szanca przedmostowego na prawym brzegu Dunaju. Austriacy oblegali fortece

z południa, z prawego brzegu Dunaju, a właściwiej mówiąc, oblegali sam tylko szaniec przedmostowy, pod który podsuwali się zygzakami przykopów. Przystęp do Komorna wolnym był od północy, zkad przychodzili Węgrzy.

Austriacy posuwali szybko roboty oblężnicze. Chodziło im o zdobycie szanca przed przybyciem Węgrów do Komorna, nie dla zdobycia fortecy, ale dla pozbawienia tych ostatnich możliwości przeprawy przez Dunaj. Pracowali więc dzień i noc, przymykali się przykopami już pod same rowy, z ciężkich moździerzy ciskali bomby do środka, zbombardowali miasto, z wyłomowych baterij strzelali do wałów. Załoga broniła się, ale blizką była już chwila, w której musiała uleść sztuce i sile. Potrzebną była jak najspiesniejsza odsiecz. Węgrzy rozumieli tę potrzebę i wyprawili przodem dwunastotysięczny korpus najlepszej piechoty, dodawszy jej donośną ilość kawalerii i artylerii, z poleceniem zmuszenia nieprzyjaciela do zaniechania oblężenia. Wojska te, dniem i nocą, brnąć przez ogromne rozlewy, które Waaga formuje, przybyły do Komorna, i wypocząwszy przez czas budowania mostu, przeprawiły się na prawy brzeg, wypędziły Austriaków z przykopów i rozwinęły się przed szansem do bitwy, opierając się prawem skrzydłem o szaniec, a lewe wzmacniając całą swoją kawalerią. Siły były nierówne. Austriacy mieli 40 tysięcy, Węgrzy 15, lecz ci ostatni bili się pod ochroną okopów szanca.

Bitwa trwała przez dzień cały. Działa grzmiały, ogień karabinowy grzechotał; Węgrzy posunęli się prawem skrzydłem naprzód i zdobyli obóz nieprzy-

jacielski. Austriacy zwrócili usiłowania swoje na lewe skrzydło węgierskie, na którym stali huzary, i zebrawszy całą kawalerię swoją, rzucili ją na tych ostatnich. Kilkadziesiąt szwadronów kirasyerów, dragonów i ułanów, ciężką masą, długą ławą, sformowani w regularne odstępy, poszli na huzarów. Huzary wyciągnęli front swój na równi z nieprzyjacielskim i przyjęli szarżę szarżą. Dwie masy kawalerii — austriackiej i węgierskiej, z których pierwsza była dwa razy większą i cięższą od drugiej — rzuciły się na siebie. Tentent koni i chrzęst próżnych, bijących się o boki i zgrzytających o strzemiona pochw, utopiony w obłoku wzbitej kopytami kurzawy, osłaniającej sobą jeźdźców, wydawał się, jakby dwie gromowe chmury sunęły po ziemi ku sobie. Masy te zwarły się, zmicszały i po chwili coś z nich prysnęło, jakby ze wspólnego ich łona wysypał się rój w tę stronę, z której przyszli Węgrzy... To huzarzy złamani poszli w rozsypkę... Masa austriacka posunęła za nimi...

O ile huzar impetycznym jest w szarży i zapamiętałym w pościgu, o tyle szalonym jest w ucieczce. Zdaje się, że traci zmysł widzenia i pędzi na oślep. Nic go nie zatrzyma: rowy nie rowy, płoty nie płoty — sadzi przez nie, a jeżeli nie przesadzi, to kark skręci. Czako zsuwa mu się na tył głowy, koc wysuwa się z pod siodła i wlecz się po ziemi, czaprak odrywa się gdzieś na bok, pochwa zrywa się z krótszego rzemienia i na dłuższym leci w powietrzu nad ogonem końskim. Huzar pędzi. Ostrogi utopił w brzuchu konia i nagli go jeszcze szablą i nic przed sobą nie widzi. Jeżeli na drodze ucieczki spotka swoje

własne kolumny, stojące lub spieszące dla zasłonięcia go, to wpadnie na nie, wywróci, rozbije, i—jeżeli te kolumny są piechotą—roztrąca. Ten ostatni wypadek miał miejsce w bitwie pod Komornem. Huzarzy rozbili dwa bataliony honwedów, które postawiły się w czworobokach, w celu zatrzymania pościgu nieprzyjacielskiego.

Natrafili jednakże huzarzy w ucieczce pod Komornem na przeszkodę, której przesadzić, ani rozbić, ani nawet obiedzić nie mogli. Przeszkodą tą był Dunaj.

Napróżno, zanim dobiegli nad brzeg Dunaju, oficerowie usiłowali przywrócić porządek w uciekającej kupie; napróżno zabiegali na przelaj, nastawiali ostrze szabel i okrzykami „aj!” (stój) starali się upamiętać szalonych. Czarniawa zbiegła się nad brzegiem Dunaju nieforemną kupą i tam zatrzymała się. Austriacy szli długim, porządnym, regularnym frontem, nieśli się wprost na huzarów. Położenie tych ostatnich było takie: albo poddać się, albo topić w Dunaju.

Ale nietylko krytycznem było położenie huzarów. Ucieczka ich skompromitowała cały korpus walczący, którego lewy bok tyły wydał austriakom, dając im możność odciąć Węgrów od przedmostowego szanca, od którego oddalili się oni przez posunięcie się prawego skrzydła naprzód. Sama ta pomyślność miała obrócić się na ich zgubę.

Pozostawał jedyny ratunek: odrzucić kawalerię nieprzyjacielską. Nikt inny nie mógł tego zrobić, tylko huzary, bo nie było żadnego innego wojska do użycia w tym celu. A trzeba było spieszyć się, bo przeciwnicy, zabawiwszy się nieco przy przeprawie przez mostek, rzucony na smudze mokrzydeł, które

wązką wstęgą wily się przez pole bitwy, przez które huzary cudownym niemal przelecieli sposobem — byli niedaleko...

Instynkt zachowawczy wydobył z huzarów to, czego już, zdawało się, żadną siłą wydobyć z nich nie było można. W przyciśniętej konieczności poddania się lub topienia czarniawie powstały okrzyki: „formuj się!... nawracaj!...” Z nieforemnej kupy poczęły wyplątywać się kolumny i szeregi. Jeźdźcy nawracali i stawali jeden obok drugiego, nie zważając z jakich pułków i szwadronów żołnierze improwizują te desperackie kolumny. Wspomnieć muszę nawiasowo, że rosaty nasz wachmistrz osłupiał, gdy w swoim szwadronie ujrzał większą połowę nieswoich ludzi i koni. Na czele szwadronów stanęli oficerowie i nie oficerowie, bo jak kolumny, tak i woddzowie improwizowali się. Słuchano głosu tego, co dowodził; wykonywano rozkaz tego, co rozkazywał. Z gorączkowym pośpiechem zszeregowali się huzarzy i gdy w austriackich szeregach zagrzmięła komenda: „ukróć cugle!... do ataku broń!... Marsz!... marsz!...” i u nich ta sama rozległa się komenda i... kopnęli się czałem.

Rezultatem nowego tego starcia się było wywrócenie austriaków. Jak przedtem huzarzy, tak teraz kirysyerzy, dragoni i ułani zostali złamani i poszli w rozsypkę, a jak przedtem w ucieczce oszaleli huzarzy, tak teraz z zapamiętałością ścigali. Znowu tuman kurzawy sunął się ponad ziemią i rozwiął się dopiero po za frontem austriackiej armii, odsłaniając zziąpanych niedobitków jej jazdy. Bitwa została wygrana przez Węgrów.

XII.

Łatwem jest śledzenie za losami naszego bohatera dlatego, że były one podobnemi do losów tysięcy innych bohaterów, którzy na równi z nim maszerowali, bili się—bili się i maszerowali, składając strudzone łby albo na polu bitew — na wieczny odpoczynek, albo w obozach i po ciasnych kwaterach — dla chwilowego wytchnienia i nabrania sił do nowych trudów. Egzystencya żołnierza podczas wojny bardzo podobną jest do egzystencyi majtka podczas burzy. Podobieństwo to stanowią: trud i każdochwilowe niebezpieczeństwo. Świeżemu człowiekowi taki stan wyda się nadzwyczajnym, dziwnym, niekiedy nieznośnym; z boku patrzącemu wyda się on dowodem wielkiego męztwa, nadzwyczajnej odwagi; majtek zaś i żołnierz oswaja się z nim, obojętnieje na niebezpieczeństwo, wciąga się w trudy i nastawia głowę swoją zawierusze wiatrów i zawierusze kul, jak stary gracz rzuca na zielony stolik złotówkę na szansę wygranej lub przegranej. Wygra — dobrze, przegra — drugie dobrze: jeżeli ma czem grać, to gra dalej, a niema — idzie spać. Tak i żołnierz: niesie leb swój i stawia go na zielonym stoliku bitwy: wygrał — dobrze... niesie go dalej, przegrał — drugie dobrze... idzie spać pod zieloną murawę, nie troszcząc się już o marsze, trudy, bitwy, nie zrywając się na pobudki, nie klnąc capstrzyków — śpi smacznie, spokojnie, aż do owej chwili, w której na odgłos archańielskiej pobudki, zerwie się i stanie na ostatecznym apelu... Męztwo tylko przy początku kampanii, w żoł-

nierzu pierwszy raz idącym w ogień, jest prawdziwym męztwem, dlatego, że wówczas człowiek nie tyle mu grożące niebezpieczeństwo, ile samego siebie musi zwyciężać; walczy więc podwójnie: z nieprzyjacielem i z sobą — gromi nieprzyjaciela i przezwycięża w sobie ten wrodzony w każdym śmiertelniku wstręt do śmierci. Gdy to ostatnie przełamanie, gdy się ostrzela, zaprawi, staje się obojętnym i idąc na śmierć, idzie nie z odwagą, ale z obojętnością. Człowieka — przykro wyznać — można do bojowej odwagi zaprawić takim niemal sposobem, jak psa na wilki lub dziki. I pies obawia się śmierci, natura jego każe mu uciekać przed wilkiem i dzikiem; lecz gdy myśliwy ułoży go systematycznie, gdy stopniowo zaszczuje, rzuca się naoslep na wroga, walczy z nim zapamiętale, z rozprutemi kłębami dzika wnętrzościami wlecze się za nim, drze się do niego, grożąc mu jeszcze konającą paszczką. Taka odwaga nie jest ani piękną, ani ludzką i sama w sobie nie jest bynajmniej zasługą. Uszlachetniają ją pierwotne pobudki, do których należy ją odnosić, jeżeli chcemy dowiedzieć się, czy odwaga jest poświęceniem się, czyli też jest tylko poprostu wynikiem zaprawienia, zaszczucia?... Zobojętnienie na śmierć i zaprawienie do boju, bez żadnych nawet wznioślejszych, moralnych pobudek, wywołują cuda odwagi, których się nieraz wstydić, a nie zachwycać się niemi należy...

Odwaga jednakże w złym sensie nie da się żadną miarą zastosować do Szandora i jego towarzyszków dlatego, że chociaż przybrała ona w końcu wszystkie cechy zobojętnienia na śmierć i zaprawienia do boju, ale pierwotnie popłynęła z czystych, dobrych i pię-

knych pobudek. Odkładając wszelako pobudki na stronę, a sądząc po samych cechach i biorąc bohatera naszego za przedmiot sądu, spostrzeżemy, iż uległ on działaniu pewnych wpływów, które zrobiły z niego nie tylko huzara, ale — jakiego huzara!...

Najpotężniejszym ze wszystkich wpływów było obcowanie z panną Elizą Kömeni. Wywarło ono taki skutek, jak dawne pasowanie na rycerstwo, które zobowiązywało człowieka być bez bojaźni i strzedz się zarzutów. Baronówna stała się dla bohatera naszego uosobieniem i usprawiedliwieniem tego uczucia, którem gorzało jego serce, a którem go węgierska kraina napoiła. Jej dobroć i troskliwość wydała mu się dobrocią i troskliwością węgierskiej krainy i zaciężyła na sumieniu jego jak dług święty, mogący być spłaconym tylko krwią. A przytem w rozmowach z baronówną, aczkolwiek krótkich i pobieżnych, rozjaśnił się jego umysł; Szandor nie tylko czuł, ale i rozumiał sprawę, za którą walczył.

Mnie się zdaje, że kobiety, szczególnie te, którym los pozwolił urodzić się w wyższych sferach społecznych, nie wiedzą, jak one są potężne. Pół-słówka ich, spojrzenia, uśmiechy, więcej częstokroć są warte i większy wpływ wyrzucić są w stanie, niż najuczeńsze rozprawy, najognistsze przemowy. Co za szkoda, że te białogłowy w największej części są próżne!... Goniąc same za cackami, zacacały świat i zrobiły to, że mężczyźni dla dogodzenia pięknej polowie rodzaju ludzkiego, wolą być cacami, niż ludźmi. Nie utrzymuję ja, że źródło złego pochodzi od kobiet — przeciwnie, my, mężczyźni — panowie świata — zrobiliśmy kobiety lalkami — i całą ich wi-

na jest to, że nie umieją poznać się na własnym stanie lalek. A gdyby poznały się... o! cóż to za wstyd byłby dla nas!...

Ale, pomijając to wszystko, zobaczmy, jak wygląda nasz Szandor. Gdyby komu powiedzieć, że on był ciężko ranny i że przed trzema miesiącami życie jego ważyło się na włosku, to niktby temu nie uwierzył, chyba dla przekonania się, musiałby zajrzeć mu pod mundur i koszulę na piersiach. A gdyby komu powiedzieć, że on przed miesiącem wyglądał jak panicz, to takżeby nie uwierzył — tak zawiął i zbronzował na wiatrach i słońcu, tak wymókł na deszczach pochodowych i rosach obozowych, tak wyszehł przy ogniskach biwakowych. U ludzi, w dostatkach i próżniactwie czas pędzących, mięśnie słabną i ciało nabiera pulchności, pewnej galarecianej sprężystości i przezroczystości; ludziom w pracy i trudach mięśnie tężą jak smolane powrozy, ciało schnie i ciemnieje, i cała postać, tracąc zbyteczne dodatki, staje się wyrazistą. Wyrazistość ta najlepiej daje się widzieć w twarzy. Brwi nasuwają się nieco na oczy, czoło fałduje się zmarszczkami, oczy nawet nabierają mocniejszego połysku. To stało się z Szandorem. Ten delikatny, wychuchany w pałacu paniczek, zdawało się, że on nie od miesiąca, drugim nawrotem, ale jednym ciągiem od lat kilkunastu był huzarem; a przeszedłszy nawskroś wonią dymów ognistych i końskim zapachem, zdawało się, że on nigdy w życiu nie zaglądał pod dach pałacowy — że się urodził w żłobie końskim, wyrósł z łoszętami, wykołysał w barłogach... O! nie radzę iść na wojnę paniczom, dbającym o delikatność. W miesiąc czasu

nie poznaliby sami siebie... Lepiej więc niech siedzą w domu i chuchają na paznogie...

Po bitwie pod Komornem nastąpiło oblężenie Budy.

Wchodząc do stolicy, pierwszą myślą bohatera naszego było odszukanie pałacu dobroczyńców swoich.

Odszukanie to jednakże okazało się niesłychanie trudnem. Szandor cały czas, który mu pozostawał od zajęć wojskowych, obracał na chodzenie po mieście i oglądanie pałaców — i napróżno. W pałacu Kömeni znalazł tylko wewnątrz apartamentu baronówny i więcej nic. Powierzchności jego nigdy w życiu nie widział; więc nieraz może przeszedł mimo niego, nie poznaawszy, że w nim jest ten pyszny pokój, w którym przepędził cały czas choroby.

Raz tylko wydało się mu, że widział pannę Elizę. Było to pod koniec oblężenia.

Szandor, nachodzący się raz pewnego za pałacem i nie znalazłszy go, zaszedł na wybrzeże, stanął na nadbrzeżnej ulicy i przypatrywał się zamkowi, który w tej chwili otoczył się wiankiem białawego dymu i grzmiał ze wszystkich dział, śląc strzały na wszystkie strony, nie zapominając i o Peszcie. Kule raz po raz gwizdząc, przenosiły się przez Dunaj i rykoszetowały po pustych ulicach, lub tonęły w gruzach.

— Ustąp się!... bo cię zabiją!... — wołano na Szandora z za węgła przyległego budynku, z za którego wyglądało ku Budzie kilkudziesięciu obojej płci ciekawców.

Szandor nie słuchał wołania, bo nie bał się zabicia, a gdyby się i bał, to wstydyby mu było cho-

wać się przed kulami. Ulica nadbrzeżna była pustą; na całej jej długości nie było widać nikogo. Szandor rzucił okiem wzdłuż wybrzeża i snadź ten obraz zniszczenia nawiał mu tęsknicę do serca, bo zadumał się i zawiesił wzrok nad zamkiem, który huczał strzałami i nad którym dymy, wypychane gwałtownie z paszcz działowych, kłębiły się dołem, a górą zlewały się w pewien rodzaj powietrznego wału.

Wtem na ulicy nadbrzeżnej dał się słyszeć turkot. Szandor obrócił głowę i ujrzał powóz odkryty, zaprzężony parą koni, który zbliżał się wolnym kłusem. Zjawisko to zadziwiło Szandora, tembardziej, że w powozie siedziała kobieta. Obok niej siedział mężczyzna. Mężczyzna trzymał lejce i bicz; kobieta zwróconą była twarzą w stronę zamku i zdawała się mu bardzo pilnie przypatrywać. Dzielne konie, strzygąc uszami i pochrapując, kłusowały truchtem, ale z ich stapania widać było, że wołałyby pędzić czwałem. Woźnica hamował ich zapędy, chociaż niekiedy świstał nad niemi biczem, co zdarzało się wówczas szczególnie, kiedy rzucały się wstecz przed kulą, lub cofały przed gruzami. Szandor zapomniał o zamku i tęsknocie, a z zachwyceniem wpatrzył się w tych zuchwalców, którzy na miejsce spaceru wybrali sobie ulicę, po której rykoszetowały kule i pękały granaty. W mężczyźnie poznał on majora od huzarów, tego samego, co był dawniej jego rotmistrzem i z którym czytelnicy zabrali znajomość pod stodołą. Twarzy kobiety nie mógł dojrzeć, odwróconą bowiem była ku zamkowi i nadto zakrywał ją do połowy kapełusz. Z koloru włosów tylko, wymykających się

z pod kapelusza, z kształtu biustu wychylonego z fozowozu i z zarysów profilu, który mu mignął, gdy konie skoczyły i wspięły się przed pękającym granatem, zdawało mu się, że to była ta panienska, która mu uratowała życie. Chciał zabiedz i przekonać się, lecz powóz ruszył szybko, uniesiony przez spłoszone konie i wkrótce znikł przed ścigającym go oczyma Szandorem. Za węglem dcmu, pomiędzy kupą ciekawych, zagrzmiął okrzyk: *elien!*

— Co to za pani?... — zapytał się Szandor ciekawych. — Jak się nazywa? ..

Jedni odpowiedzieli, że jej nie znają, drudzy, że nie wiedzą, jak się nazywa, a inni, że możeby wiedzieli, gdyby dojrzeć mogli jej twarz. Ale wszyscy jednogłośnie powiadali:

— Ale to jakaś prawdziwa Madiarka!... No!...

I nie mogli nadziwić się jej odwadze.

— Może to nie ona!... — powiedział Szandor sam do siebie.

Chodził on jeszcze po Peszcie, przypatrując się pałacom i wszystkim przejeżdżającym i przechodzącym paniom, ale już niedługo, bo w parę dni później dowiedział się z rozkazu dziennego, odczytanego na apelu, że awansowanym został na podoficera i razem z kilku innymi przeznaczonym do Keczkemetu, dla dodania młodemu wojsku obwąchanym z prochem i wypróbowanych w boju żołnierzy, którzy ujęliby je odrazu w ramy bojowego doświadczenia.

Wysłanie to było dla Szandora i nagrodą i przykrością. Znaczenie nagrody zawierało się w awansie, w posunięciu na wyższy stopień hierarchii wojskowej.

Z podoficera mógł zostać wachmistrem, albo omijając wachmistrzowstwo, odrazu podporucznikiem. Przykrością było dla niego rozstanie się z towarzyszymi.

— Ja nie chcę awansu, ale niech zostanę w szwadronie — prosił Szandor wachmistra.

— Niepodobna!... — odparł wachmistrz. — Jabym ciebie nie awansował, ani wysyłał, bo to sprzeciwia się porządkowi... Ale gdzie teraz o porządku kto myśli!... Rotmistrz sam ciebie przedstawił... musisz jechać!...

To tylko uważał bohater nasz jako szczęście, że mu nie kazano rozstać się z koniem, jak innym w innych szwadronach, którym konie lepsze kazano pozamieniać na gorsze.

To także uważał Szandor jako pociechę, że z Keczkemetu niedaleko do Szegiedynu. Uśmiechnęła mu się nadzieja zobaczenia rodzinnego grodu, a w tym grodzie domku starego stelmacha, a w tym domku... wszystkiego, co się w niem zawiera. Wyjechawszy za Peszt i minawszy Szarokszar, kiedy oddział jeźdźców utonął w stepach, owionęło bohatera naszego coś takiego, jak zapach oddechu kochanki, jak ciepło jej objęcia, jak światło jej spojrzenia. Szandor myślą oderwał się od towarzyszków i pogonił przodem, i nie zatrzymując się nigdzie po drodze, nie zaglądając nigdzie ani na chwilę, odrazu, jednym skokiem przesadził przestrzeń i wpadł do Sawy Simicza.

Pójdźmy i my w kierunku myśli naszego bohatera i zajrzyjmy pod strzechę Sawy Simicza. Może my to uczynić tem bezpieczniej, że Szandor aż do przybycia z armią do Szegiedynu przechodził zwykle koleje żołnierskiego życia: pełnił służbę, musztrował

się, musztrował drugich, potem maszerował; obozował, bił się i po zmianie szczęścia dla oręża węgierskiego, zaszedł z drugimi pod Szegiedyn.

Nie podejmuję się jednakże opisywać boleści i rozpacz, w jakiej od chwili egzekucji Łuki pogrążoną była rodzina Simicza. Kto zna tego rodzaju boleść, dla tego opisu nie trzeba; kto jej nie zna, temu jej oddać wyrazami niepodobna. Bo wyrazy nie opiszą, jak serce pęka, a nie rozpęknie się, jak pierś ścisną się, a nie zapadnie się, jak oczy schną i palają, a nie uschną na wieki, nie zapalą się tak, żeby wyżarzyły mózg, a z mózgiem życie. Nie—tego stanu konania ze smutku bez możliwości skonania, tej gorączki boleści, której łzami zwilżyć nie można — nie opisze żadne pióro, nie odmaluje żaden pędzel, nie odrzeźbi żadne dluto. Taki stan był stanem Sawy, Anny i Marijki. Boleść ich po śmierci Łuki przywiała się do nich, jak nieodzowny warunek istnienia. Żadna pociecha nie przystawała do nich. Próbował pocieszać ich Memlauer, który, jak mówiłem, ukradkiem ich odwiedzał. Kobiety nie słuchały tego, co on mówił. Sawa zdawał się słuchać, ale Sawie jedna myśl zagnieździła się w głowie:

— Kto wydał Łukę?...

Memlauer opowiadał pocichu:

— Sawo Simiczu, przynoszę ci pocieszającą wiadomość; ale nie mów nikomu, że ją masz ode mnie... Śmierć Łuki jest zemszczoną... Serby w Baczce dowiedziawszy się o niej, wyrznęli tysiąc Madiarów...

— To mnie nie pociesza — odparł Sawa. — Co Madiary winni?... Dziesięć tysięcy zarzniętych Madiarów nie zapłacą mi za Łukę... Mnie potrzeba jedne-

go... i to nie Madiara, ale Serba... tego Serba, co Łukę wydał!... Powiedz mi, kto Łukę wydał?... Ja go zarznię!... ja!...

Stary wstawał; zbladła jego twarz drżała; podnosił trzęsące się ręce do góry:

— Oh!... gdybym ja wiedział, kto Łukę wydał!...

I o niczem stary nie myślał, niczego nie chciał, tylko wiedzieć, kto zrobił donos na jego syna. Z tego powodu stał się podejrzliwym i nieprzystępnym i niesprawiedliwym dla żony i córki, które, niemniej rozbolełe jak on, musiały często znosić na sobie cały ciężar jego złego humoru. Jeden tylko Memlauer umiał jakoś poradzić z nim sobie. Sawa słuchał, jak Memlauer co rozpowiadał, i nieraz dał się mu ułagodzić do tego stopnia, że obecność jego odwracała od biednych kobiet burze gniewu starego Simicza, zwracając je na inne przedmioty. I tak, kiedy opowiadał staremu o tryumfach Madiarów, stary gniewał się dlatego, że cierpiała sprawa, której służył Szandor. Memlauer nie sprzeciwiał się mu nigdy, na jakąkolwiek stronę jego gniewy spadały; przeciwnie, podsycał je... Znał on go dobrze i umiał grać na nim, jak artysta na instrumencie. Dla Anny i Marijki było to ulżeniem, za które były one bardzo wdzięczne Memlauerowi.

Po długich kilku miesiącach, przepędzonych w ciągłym smutku, bez żadnej wieści od Janka z jednej, od Szandora z drugiej strony, Memlauer taką raz Simiczowi zwiastował wiadomość:

— Będziesz, Sawo, wkrótce wiedział, kto wydał Łukę.

— Co mówisz!... — zawołał Sawa i po raz

pierwszy od kilku miesięcy uśmiechnął się, ale tym uśmiechem, jaki nadzieja zemsty maluje na ustach i oczach człowieka.

— Będiesz wiedział...—mruknął Memlauer niby od niechcenia.

— Zkąd?.. jak?.. od kogo?..—krzyknął Sawa.

— Cicho...—milygował go Memlauer — ściany mają uszy...

— Toż mów, ty — (Sawa przestał Memlauera tytułować *Herr von*) ja będę milczał!...

— Z Węgrami już się wkrótce skończy...

— I cóż z tego?...

— Przyjdą Niemcy do Szegiedynu...

— El... i od Niemców nie więcej się dowiem, jak od Madiarów...—i machnął stary ręką.

— Przyjdzie i Janko...

— Al...—i wpadł stary w zamyślenie.

Memlauer jakby wieszczym zgadł duchem. Następnie Węgrom zaczęło się źle wieść. Szczęście się obróciło przeciwko nim. Szegiedyn poczęły napelniać niepomyślne i coraz niepomyślniejsze wiadomości. Nawet i co do Janka zgadł Memlauer, pomyliwszy się w tem tylko, że Janko przyszedł do Szegiedynu przed Austryakami. Pewnego wieczora zjawił się on niespodzianie przed zdziwionymi naprzód i natychmiast potem przestraszonymi rodzicami.

— Janku — mówiła do niego Anna, trzymając go jeszcze w uścisku macierzyńskim — uciekaj, moje dziecko, jak najdalej, ukryj się jak najlepiej, bo... ty nie wiesz, co się stało!...

— Wiem o wszystkim!—rzekł Janko sucho.

— Wiesz, kto wydał Łukę?...—zapytał Sawa.

— Będę wiedział — odparł Janko tonem pewnym.

Janko był przebrany za wieśniaka węgierskiego. Na twarzy zdawało się, że bardziej sponurzał, zapewne z powodu szerokiej blizny, która przeorała mu czoło. Zresztą nic się nie odmienił; mniej może jeszcze mówił niż dawniej, bo niczego od niego dopytać się nie można było. Powiedział tylko:

— Przygotujcie dla mnie pod strychem legowisko, gdzie ja przez kilka dni przeleżę... Nocami nie będzie mnie w domu...

Wymówiwszy to, usiadł, odpoczął przez chwilę, i jak poszedł, tak nie przyszedł aż rankiem i udał się prosto pod strych. Powtarzało się to każdego dnia. Zdawało się, że Janka niema pod dachem ojcowskim. Sawa, Anna i Marijka poznali, że przygotowuje się w tajemnicy jakiś wypadek, tembardziej, że słyszeli, iż cofająca się i kilkakrotnie pobita armia węgierska ciągnie do Szegiedynu, z zamiarem stoczenia stanowczej bitwy, do której przysposobiono okopy i baterie, na łeb na szyję sypane przed miastem i które widać było z domku Simicza. Rozrzuciły się one półkolem w polu, przeskakując przez trakt z Keczkemetu i wystając ponad bujną kukurydzę, której łan przypierał do Simiczowskiego ogrodu. Ale ani Sawa, ani kobiety nic z sobą ani o spodziewanym wypadku tajemniczym, ani o przewidywanej bitwie nie mówili. Jakiś czy szacunek dla tajemnicy, czy strach, czy wstyd, zawiązywał im usta. Czekali, co to będzie?...

Raz wieczorem wszystko troje siedzieli i milczeli. Na dworze było ciemno, ale cicho i pogodnie.

Kot mruczał jak wówczas, kiedy hajduty przyszli po Łukę.

Wtem raptem błyskawica jakaś mignęła takim silnym blaskiem, że przy nich zgasła na chwilę jasność świecy, i stało się, jakby słońce wbiegło na niebo na jedno mgnienie żrenicy i schowało się. Potem nastąpił huk, niby tysiąca naraz gromów, połączony z gwałtownem, ale krótkim wstrząśnieniem ziemi. Wszystko, co tylko było szklanego w domu, zabrzęczało i zadzwoniło żałośnie. Przestraszony kot zeskoczył z pościeli i zaczął uciekać. Sawa, Anna i Marijka zerwali się równemi nogami i jednocześnie zawołali:

— Jezus! Marya!...

Jak raptem błysnęło, huknęło i zatrzęsło się, tak raptem wszystko ustało. Pozostało tylko zdziwienie i przerażenie, które nie chciało ustąpić z lic Sawy, Anny i Marijki.

Nie śmieli się zapytać siebie, co to jest?...

Sawa pierwszy ochłonął i wyszedł na podwórze. Na dworze było cicho, ciemno i pogodnie. Miliony gwiazd wystąpiły na niebie i mrugały zalotnie ku ziemi. Wrócił więc Sawa i usiadł. Anna i Marijka myślały, że coś powie, ale on nic nie powiedział; więc i one usiadły, przytuliwszy się jedna do drugiej, nie myśląc bynajmniej o spaniu i bojąc się nawet pomyśleć o wyjściu do ciemnych sieni. Tak upływały im w milczeniu godziny nocne. Około północy przeraził je odgłos czyjśgo chodu. Ktoś szybko zbliżał się i otworzył drzwi od sieni. Kobiety zadrzały, bo przypomniały sobie hajduków; przytuliły

się mocniej do siebie, z przerażeniem spojrzały ku drzwiom i ujrzały na progu Janka.

Janko przedstawił się im w dziwnym nieładzie odzieży. Był cały zmoczony; włosy jego przykleiły się do głowy, suknie ociekały wodą, chlupało mu w butach, na głowie nie miał kapelusza.

— No, chwała Bogu!... — rzekł wchodząc — powiodło się doskonale!...

Nikt mu nic nie odpowiedział. Matka, ojciec i siostra wielkimi oczami patrzyli na niego. Janko ciągnął dalej:

— Prochownia i magazyn wyleciały w powietrze... Niech się teraz Madiary biją!... Nie pomogą im szanćel!... Jak wystrzelają to, co z sobą przywleką, to będą musieli z szanćów uciekać!...

Zamilknął jakby dla odpoczynku i znów mówił:

— A wiecie kto wydał Łukę?...

Sawa zerwał się i stanawszy przed synem, zapytał głośno i z uniesieniem:

— Kto?...

— Szandor!... — odpowiedział Janko.

Stary odstąpił o kilka kroków, jakby cofając się przed padalcem, a groźnie spojrzawszy na syna, przystąpił znów do niego i zawołał gwałtownie:

— To nieprawda!...

— Szandor wydał Łukę... — powtórzył Janko wyraźnie.

— To nieprawda!... — krzyknął stary i porwał syna za piersi — ty kłamiesz!...

Kobiety zerwały się z krzykiem i uczepiły się rąk Sawy.

— Przypomnij sobie, ojczu, wszystko, a nie po-

wiesz, że to nieprawda... — odparł Janko spokojnie i powolnie.

Sawa chrapnął ciężkiem westchnieniem i wzniosł oczy do góry, jakby dla przywołania wspomnień i zwałił się na siedzenie. Głuche stęknienie wydarło się mu z piersi.

Anna nie ruszyła się z miejsca. Stała jak żona Lota, zamieniona w posąg. Marijka pochyliła się na łóżko.

Wśród ciszy słyhać było ciężkie oddychania, jak w szpitalu, gdzie leżą chorzy na gorączkę.

Po długiej chwili milczenie przerwał Janko:

— Nie mam czasu... mnie śpieszno... Mam wam jeszcze powiedzieć słów kilka...

A zwracając się do ojca, rzekł:

— Wydadaj, ojczu, Marijkę za Memlauera.... On nam wielkie oddał usługi...

Marijka krzyknęła, jakby zerwało się jej coś w sercu, i stłumiła krzyk swój, tonąc głową w poduszkę.

Janko mówił dalej:

— Jemu się to należy... on będzie czekał, aż się wszystko uspokoi... Bądźcie zdrowi!.. może się wkrótce znów zobaczymy.

Janko wyszedł, zostawiając rodzicom i siostrze jeden więcej ból w sercu, który stał się spotęgowaniem ich smutku, dalszym jego ciągiem, mającym im wystarczyć na całe życie, a może przyczynić się do skrócenia go. Pod wrażeniem nowego tego bólu nie przyszło im na myśl zapytać się, gdzie Janko idzie, kiedy powróci, ani, dlaczego był zmoczony... Na to ostatnie zapytanie jesteśmy w stanie odpowiedzieć

domysłem, iż zapewne, po wysadzeniu prochowni w powietrze, musiał przepływać przez Cisę, a dla uniknięcia podejrzenia, albo raczej dla niedostania się w ręce Madiarów, nie brał łodzi, ale przeprował się wpław.

Po odejściu Janka pod dachem Simicza zapanało grobowe jakieś milczenie. Te trzy ludzkie postacie, które tu pozostały, wyglądały jak trzy chodzące trupy. Sawie oczy wpadły i zaledwie blaskiem próchna połyskiwały z pod nasuniętych brwi, policzki pobladły i schudły, ręce trzęsły się; Anna postarzała, twarz jej pożałdowała się w zmarszczki, z których przeglądała zgryzota. Marijka... ha! co to młodość!... Marijka i pobladła i schudła i zesmutniała, ale nie przestała być piękną; wydelikatniała niby i spoważniała, ale nie zwiędła; zdawało się, że otoczył ją jakiś obłok, który przysłonił jej wdzięki, ale nie zgasił ich i z za którego ona jeszcze piękniejszą się wydawała.

Sawa przemówił raz do Anny:

— Już nam niedługo żyć... Trzeba się wybierać do Łuki...

— Ty chcesz wziąć Marijkę — mówił do Memlauera, który go odwiedził. — Bierz ją!... Jej potrzeba opiekuna... Ona wkrótce pozostanie bez ojca i... bez matki — dodał — bo i Anna nie wytrzyma... a ja już w sobie czuję, że tylko mogę umrzeć...

Memlauer dziękował staremu, nazywał go ojcem i uspokajał go.

— Wiesz ty, kto wydał Łukę?... — zapytał go Sawa znienacka.

— Nie wiem... — odparł Memlauer pośpiesznie.

— Szandor... — rzekł stary niby spokojnie — Szandor!... ta gadzina, którą wychowałem za pazu-
chą!...

— Ale to być nie może!... — zawołał Memlauer ze zdziwieniem.

— Tak!... tak!...—mówił Sawa—Szandor... nie kto inny... Powiedział mi o tem Janko...

— Ale!... — przerwał sobie stary — powiedzże mi, z kąd ty wiedziałeś, że dowiem się o tem od Janka?...

— Ja!... nie wiedziałem... — odrzekł Memlauer i oczy jego zamigotały, jak u człowieka pojmanego na gorącym uczynku... Ale Sawa nie zważał na to.

— Czy widziałeś się z Jankiem?...

— Kiedy?—zapytał Memlauer.

— On tu był przed kilku dniami.. Odszedł pozawczora... To on mówił mi, żeby za ciebie wydać Marijkę...

— Pocziwy Janko!...—zawołał Memlauer w rozczuleniu.

— A znaleźli Madiary tego, co wysadził im prochownię w powietrze?...—zapytał Sawa.

— Nie wiem—odparł Memlauer.

— Niech szukają!... nie znajdą!...

— Madiarskie wojska przychodzą tu wkrótce—przerwał Memlauer.

— Przychodzą!... kiedy?...

— Zapewne jutro... już są niedaleko.

I rzeczywiście, nazajutrz nad wieczorem, gdyby kto stanął był na dachu domu Simicza i puścił wzrok w kierunku Kieczkiemeckiego traktu, ujrzałby wśród

zielonych łąnów kukurydzy posuwający się powoli błyszczący długi smug, w pół okryty tumanem kurza-
wy. Tą drogą kieczkiemecką szły bataliony piechoty, to błyszczały bagnety... Nie można było dojrzeć kolumn, bo zakrywała je kukurydza, która niby las w tym roku wybujała, i łodygi jej takiej doszły wysokości, tak rozrosły się w szerokie liście, że mogły nie tylko pieszego, ale i konnego ukryć. Po kurza-
wie więc tylko można było zdaleka rozpoznać wojsko, które zbliżając się, wynurzyło się na plac przed miastem i nie szło do Szegiedynu, ale rozchodziło się na prawo i lewo, stając za przedpiersiami okopów. Pusty plac zaludniał się. Od Kieczkiemetu ciągnęło wojsko; z Szegiedyna wysunęła ludność. Tłum ludu, skupiwszy się przy drodze, witał elienami wynurzające się z kukurydzy kolumny. Przed tłumem stała banda cyganów ze znajomym nam skrzypkiem na czele, i grała Rakoczego na powitanie żołnierzom. Skrzypek grał z zapalem—prawą nogę wyciągnął naprzód, oczy przymrużył, pierś obnażył, skrzypkę przytulił do brody i wodził po niej smyczkiem a przebiegał palcami... Przed nim defilowała piechota: kilkadziesiąt batalionów przeszło i rozeszło się po placu, zajmując wyznaczone sobie stanowiska; defilowała artyleria: bateria po baterii przejeżdżała i zawracała na prawo lub na lewo; defilowała jazda: szwadrony szły powoli, jeźdźcy mrugali do wyglądających z tłumy twarzyczek dziewczęcych, konie prychały i kiwały głowami. Cygan, zdawało się, nie zważał na wojsko, robił swoje, grał jednakowo dla piechoty, artylerii i kawalerii — skrzypka jego okryła się kurzem, lica oblały się potem, czarne rozpatlane włosy

spłwiał od pyłu — on grał... Żołnierze z kolumn w tłumie widzów poznawali znajomych swoich i krewnych i witali ich;—skrzypka nikt nie powitał, nikt go nie poznał, ale on nie zważał na to—witał wszystkich—zarówno generałów, jak i szeregowych.

Aż w ostatnim szwadronie, który zamykał pochód, huzar jeden uśmiechnął się ujrawszy cygana, spał konia ostrogami i poskoczył ku niemu.

— Jak się masz!.. — zawołał i wyciągnął do skrzypka rękę.

Skrzypak przestał grać.

— Jak się masz!... — krzyknął w uniesieniu — Szandor!... *baraton*...

— Szandor!...—rozległo się w tłumie i poczęto cisnąć się do huzara. Ten mu podawał rękę, ów witał go głosem. Szandor odpowiadał, nazywał każdego po imieniu, obracał się i rozglądał po tłumie. Snadź szukał kogoś — kogoś, kogo nie było. Cygan trzymał się za poślisko Szandorowego siodła i nie dał się odtrącić cisnącym się do powitania naszego bohatera.

-- Grałeś mi na powitanie, kiedym wracał do Szegiedynu z wędrówki i grałeś mi teraz, kiedy...— powiedział do niego Szandor, pochylając się na siodle.

Cygan chciał coś mówić, ale zakrzyczano go.

Wtem zniecierpliwiony karosz Szandora począł gryźć i wierzczać.

— Aj!... oj!...—rozległy się głosy.

Szandor szarpnął konia munsztukiem i spał go ostrogami. Kary wspiał się i skoczył. Szegiedy-

dzianie odbiegli od niego. Jeden tylko cygan pozostał przy poślisku.

— Bądźcie zdrowi!... zobaczę się z wami wszystkimi!... — krzyknął do nich Szandor, a Cyganowi wymienił nazwisko swego pułku i numer szwadronu, i powiedział mu:

— Przyjdź do mnie, *baraton*!...

Cygan puścił się pośliska, Szandor pojechał za szwadronem.

Zaledwie armia rozlokowała się po obozowemu, Cygan dopytał się do szwadronu Szandora.

— Cóż słychać?...—pytał go Szandor.

— El!... — odparł cygan — słychać to, o czym wiesz zapewne, że będziecie się bili tu, gdzie stoicie.

— Nie o to się pytam, ale...

— Ale—przerwał Cygan—al... wiem już, o co się pytasz... Smucą się tam i płaczą... Zresztą dowiesz się sam o wszystkim, bo zapewne nieomieszkaszkajrzeć do starego i pocieszyć go... On ciebie kocha jak syna... Tam ciebie piękne oczy wyglądają—dodał Cygan z uśmiechem.

— Idę ja tam natychmiast...—odparł Szandor—już naprzód zdałem służbę i uwolniłem się na kilka godzin... Chodźmy!...

I poszli.

Zanim armia zajęła obozowe stanowiska, zapadł wieczór. Zmrokiem więc Szandor i Cygan zdążyli ku domowi Sawy Simicza. A było im snadź śpieszno, bo szli prędko. Szandor przyspieszał ciągle kroku.

— Nie daremnie to — zauważył cygan — śpie-

wa się w pieśniach, że się na skrzydłach do kochanki leci.

Szandor nic nie odpowiedział. Pałasz podpięty na haczyku lekko pobrzękiwał, ostrogi dzwoniły krótkim dzwonieniem. Bohater nasz śpieszył i wkrótce stanął przed furtką, pchnął ją silnie, wbiegł na dziedziniec i pędem wpadł do izby. Cygan wszedł za nim w kilka chwil później.

W izbie nie było jeszcze światła. Szandor zastał Sawę, Annę i Marijkę. Na odgłos brzęku ostróg Sawa wstał i stał na środku izby, Anna i Marijka siedziały na łóżku.

Bohater nasz rzucił się ku Sawie, garnąc się w jego objęcia; lecz jakże zdumiał się, gdy zamiast miękkiego ojcowskiego uścisku, spotkał twarde kości kulałów. Myślał, że go stary o zmierzchu nie poznał.

— Sawo!—zawołał—ojczel... to ja!...

Stary podniósł zaciśniętą pięść do góry i milczał przez chwilę, a uderzając Szandora w głowę i chwytając go gwałtownie za kołnierz, począł go pchać ku drzwiom, bijąc kulałkami i krzycząc urywanym głosem:

— Precz!... łajdaku!... gadzino madiarska!... precz!... zabójco mego syna!... precz!... wydałeś Łukę!... precz!... precz!...

Anna ukryła głowę w pościel i nie patrzyła na to widowisko pasowania się Sawy z nieopierającym się mu Szandorem. Ale Marijce głos tego ostatniego zabrzmiał w uchu, niby akt uniewinnienia. Ona i przedtem nie mogła twierdząco odpowiedzieć sobie na zapytanie: czy podobna, aby Szandor wydał Łu-

kę? a usłyszawszy ton mowy kochanka, a usłyszawszy wyraz „ojczel“, którym pozdrowił jej ojca, nie myśląc, porwana samą potęgą dźwięku jego mowy, zerwała się i stanęła w jego obronie. Objęła ojca wpół rękami i płała mu się u nóg. Sawa uderzał ją nogami, deptał, darł się z pięściami ku Szandorowi i wołał, odchodząc od przytomności:

— Precz!... wydałeś Łukę!... morderco mego syna!... Precz!... Dajcie mi noża!... noża!... niech go przebiję!... dajcie mi kota!... niech mu łeb rozmiażdżę!...

Gdyby nóż lub kół nawinał się był staremu pod rękę, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Sawa byłby się zboczył krwią Szandora, który mu się bynajmniej nie bronił. Party przez starego, cofał się bezprzytomnie, i nie wiadomo, na czymby się to skończyło, gdyby nie Cygan, który porwał wpół Szandora i wyciągnął go na podwórze, a ujawszy silnie pod ramię, wyprowadził na ulicę i poprowadził ku obozowi. Szandor szedł machinalnie. Za miastem dopiero zatrzymał się, usiadł na ziemi, ukrył twarz w dłonie i począł płakać. Cygan usiadł przed nim.

Cygan milczał, Szandor płakał i płakał długo, jak dziecko, albo jak kobieta. Może komu się wyda, że łyż huzarowi nie przystoja; ale wyda się temu tylko, kto nigdy nie doświadczał prawdziwej zgryzoty. Są w życiu mężkiem chwile, w których niepodobna łyż utrzymać za powieką; wycisną się i popłyną, pomimo największej mężkości i najzjadlejszego huzarstwa.

Wyplakał się Szandor i począł przychodzić do przytomności. Wówczas Cygan odezwał się:

— Toś ty nie wiedział, że Łuka nie żyje?...

— Nie wiedziałem... — odparł Szandor. — Nie wiem, jak to mogło stać się, że Sawa na mnie śmierć Łuki zwała...

— Uspokójże się i słuchaj—rzekł Cygan i opowiedział wszystko, co o powodach egzekucji Łuki doszło do jego wiadomości, dodając na końcu, jako domysł, że ktoś wmówić musiał w Sawę, że Szandor wydał Łukę.

— Ale dlaczegożby to nie dało się przerobić!...— rzekł po chwili milczenia.—Ty zapewne nie będziesz staremu pamiętał, bo on był dla ciebie ojcem... a on, jak się dowie prawdy, to sam pierwszy ciebie przeprosi... Ktoś się tobie przysłużył; ktoś z takich, którzy zazdrościli tobie Marijczyńnego serca... Pomyślno, czy nie masz na kogo podejrzenia?...

— Nie, nie mam—odrzekł Szandor, wzruszając ramionami.

— Uspokójże się i zdaj sprawę na mnie... Ja się czegoś może dowiem.. Pomówię i z Sawą i z Marijką i będę co dnia zachodził do ciebie, do obozu...

Szandor uściskał Cygana. Jeszcze raz łzy mu się z oczu puściły, lecz otarł je rękawem od dołmana i poszedł do obozu.

Obóz leżał pod Szegiedynem przez kilka dni, na tem samem miejscu, na którym stanął pierwszego dnia. Spodziewano się, że nieprzyjaciół będzie atakował, więc porobiono wszelkie do bitwy przygotowania i ciągle o niej rozprawiano tak w mieście, jak

przy biwakach. Zdawało się wszystkim, że tu rozstrzygną się losy Węgier, że—albo wojsko zagrzebie się w gruzach Szegiedynu, albo zwycięży, i tak się oswojono z tą myślą, tak się ona wszystkim podobala, że i mieszkańcy i żołnierze z niechęcią patrzyli na mosty, stawiane na Cisie dla przeprawy wojska.

Przez tych kilka dni Cygan gorliwie zajmował się sprawą Szandora. Zbierał wiadomości, rozpytywał się, ale gorliwość jego niewiele na co się przydała. Dowiedział się tylko, że Sawa ani chce słyszeć o Szandorze, a z rozmowy z Marijką zmiarkował, że ta ostatnią skłonną jest do uwierzenia, że nie Szandor był powodem śmierci Łuki. Wszystko to odraportował wiernie Szandorowi i opowiadał mu przytem niektóre drobniejsze szczegóły o rodzinie i domu Simicza; jak np. wygląda Marijka, że Sawa zaprzestał robić *kocze*, że obozujący żołnierze rozgrodzili i spalili płot od jego ogrodu i t. p.

— Poproście Marijki, żebym przynajmniej z nią mógł widzieć się na momencik... żebym mógł jej kilka słów powiedzieć, pożegnać się z nią po raz ostatni i może na wieki...—prosił Szandor Cygana.

— Dobrze!... dobrze!...—odpowiedział Cygan.

Jakoż, jak począł chodzić a prosić, perswadować a namawiać, skończyło się na tem, że Marijka obiecała wyjść wieczorem na chwilę do ogrodu, i—jak powiedziała — pożegnać się z Szandorem, bo nie spodziewała się, aby ojciec dał się kiedy o jego niewinności przekonać...

Wieczór, naznaczony przez nią na pożegnanie, był wieczorem dnia tego, w którym o południu woj-

ska węgierskie poczęły opuszczać obóz i przenosić się na lewy brzeg Cisy.

Trudnem stało się położenie naszego bohatera — pomaszerować za Cisę, znaczyło zrzec się widzenia z kochanką.

Już artylerya i pociągi ruszyły, kolumny piechoty wyciągały z obozu i tonęły w mieście, niektóre oddziały jazdy przeprowiły się na drugą stronę, obóz pustoszał powoli, pułk Szandora stał w pogotowiu do wsiadania na koń, gdy nie wiedzieć z ką, jakby z nieba spadł, zjawił się obok Szandora Cygan.

— Idziecie? — rzekł.

— Idziemy — odparł Szandor, nie patrząc na Cygana.

— Więc nic z tego nie będzie?... — zapytał Cygan.

— Dlaczego ma nie być!... — odrzekł Szandor — będę ją widział... muszę widzieć!... albo...

Cygan spojrzał bystro Szandorowi w oczy. Białka oczu jego dziwnie jakoś zamigotały pod czarnymi brwiami. Pomyślał przez chwilę i powiedział sam do siebie:

— Al... rozumiem!... Wiem już, gdzie go spotkam dziś w nocy...

Wkrótce po odejściu Cygana zatrabiono na koń. Huzarzy poskoczyli do koni i poczęli wsiadać. Włożyli nogi w strzemiona, wzniesli się, i na komendę wszyscy razem wsiedli. Jeden tylko huzar nie był na koniu. Huzarem tym był Szandor. Nie wsiadł, bo koń jego rozchimerował się i nie dawał przystąpić do siebie. Co się Szandor zbliżył do niego, to on

cofał się, wspinał lub w bok rzucał. Huzarzy sfurmowali się już i ruszyli, a Szandor jeszcze konia nie ułagodził. Jeden z oficerów ujrzawszy to, przyskoczył do niego:

— Niech ci kto pomoże!... — zawołał.

— Nie trzeba, poruczniku!... koń jeszcze bardziej przestraszy się!... Wsiadę ja na niego i dogonię szwadron!... — odpowiedział Szandor.

Porucznik odjechał.

— Dogonię ja ich!... — mówił Szandor sam do siebie i udając usiłującego wsiąść, szarpał konia munsztukiem, a koń wspinał się i cofał. Pułk znikł już mu z oczu. Koń zacołał się aż do kukurydzy. Tam Szandor ujął go za uzdę i poprowadził, kierując się gęstwiną w stronę domku Simicza. Łodygi rozchylały się przed bohaterem naszym i jego koniem i prostowały się, gdy oni przeszli. Szandor przeciskał się szybko i gdy doszedł na wysokość domku Simicza, wybrał sobie taki punkt, z którego, nie będąc sam widzianym, mógł widzieć i domek starego i plac przed miastem i ten plac, który, jak wiemy z pierwszego rozdziału niniejszej powieści, dzielił łąny kukurydzy od wybrzeża Cisy, przylegając do obrębu Szegiedynu od północnej strony, *vis à-vis* trzęsawisk lewego brzegu rzeki. Tam zatrzymał się i wyglądał. Plac, na którym zatrzymał się obóz węgierski, pustoszał, pustoszał i w końcu pozostały na nim tylko kupy słomy i czarne plamy zagasłych ognisk. Plac północny zieleniał kobiercem murawy, za nim połyskiwała Cisa, za Cisą widać było wijącą się długim węzłem Marosz i na lewym brzegu Maroszy postrzegł Szandor

ciemniejące kolumny węgierskie, rozstawione w bojowym porządku.

— A!... — mruknął sam do siebie — będą się bić o przeprawę... a tedy najprostsza dla mnie droga... — i wyciągnął rękę w kierunku, w którym, gdyby przeprowadzić linię prostą, to ta przeszłaby przez plac północny, przez Cisę i poszłaby wzdłuż Maroszy.

Zrobiwszy to rozpoznanie miejscowości, spojrzął ku domkowi Simicza, popatrzył, westchnął, usiadł, założył cugle na rękę i zadumał się. Lecz wkrótce z dumania wyprowadził go łoskot bębnow i odgłos muzyki wojskowej. Zerwał się i popatrzył na plac, gdzie był obóz węgierski. Plac ten, opuszczony niedawno, począł się znów wojskiem napełniać. Szandor poznał nieprzyjacielską armię. Więc już nie siedał, ale przypatrywał się pilnie, i widział jak jedne kolumny szły do miasta, a inne szły przed miastem, jak artyleria ciągnęła w rozmaite strony i adjutanci przebiegali w rozmaitych kierunkach. Przypatrywał się on temu spokojnie, lecz zadrżał, gdy ujrzał bataliony nieprzyjacielskie, wynurzające się z miasta na plac północny. Tam tedy przechodziła jego droga i ta mu była odcięta. I zrobiło się mu zimno i straszno: wyraz „dezterter“ wcielił się w jakieś obrzydliwe widmo i stanął mu przed oczami. — Stał więc i patrzył i słuchał. — Ponad brzegiem Cisy, na północnym placu, wyciągnął się łańcuch wedet gęsto rozstawionych, za wedetami stanęły placówki i grangardy.

— Ha!... tom się złapał!... — rzekł sam do siebie.

Nie było jednakże rady, trzeba było czekać. W niespokojności czas prędko upływa, i Szandor ani spostrzegł, jak doczekał się zmroku, a równo z zachodem słońca zabrzmiał długim echem pierwszy strzał działowy. Koń zastrzygł uszami na znajomy odgłos, a Szandora przygniotło uczucie wstydu.

— Dezterter!... — rzekł przez zęby.

Po pierwszym strzale wszczęła się mocna kanoada, wzmagająca się w miarę zwiększania się wieczornego zmroku. Każdy wystrzał błyskawicą rozlewał się po niebie. Szandor słyszał daleki świst kul i świergotanie granatów i widział jak te ostatnie przełatywały półkolem w powietrzu niby komety, ciągnąc ogony światła za sobą. Słyszał daleki zgiełk ludu i ujrzał raptem lunę pożaru. Szegiedyn się palił. Bitwa wrzała.

Machinalnie prawie, przygnieciony żalem i wstydem, począł nasz bohater postępować ku Szegiedynowi. Co zrobił kilka kroków, to zatrzymał się i znów szedł. Tak idąc, dostał się na kraj łąny kukurydzianego i znalazł się przed ogrodem Sawy Simicza. Wszedł do ogrodu, bo płotu nie było, i tam stanął, nie wiedząc co z sobą zrobić.

Przenieśmy się na chwilkę o kilkanaście kroków od miejsca, na którem stoi nasz bohater, do Simiczowego domku. Jak tam ludno i wesoło!... Sawie wprawdzie, ani Annie nie rozmarszczyły się czoła, Marijka nie uśmiecha się; ale za to Memlauer śmieje się całem gardłem i wtóruje mu kilka osób, których nigdy nie widzieliśmy i o których nic w ciągu powieści nie wspominałem dlatego, że ani pośre-

dnio, ani bezpośrednio nie wpływały one na losy głównych postaci opowiadania naszego. Osobami temi byli sami mężczyźni. Z nich jedni mówili nie bardzo czyśto po serbsku, a drudzy bardzo zarywali z niemiecka. Siedzieli w paradnej izbie, rzęsiściej niż zwykle oświetlonej. Pomiedzy nimi był i Janko. Puha-ry z winem stały na stole, przenosząc się do ust biesiadników, wypróżniając się i napełniając kolejno.

Nie będziemy powtarzali wszystkich rozmów, których główną treść stanowiły wzajemne winszowania i wzajemne pochwały. Wszyscy winszowali każdemu z osobna i chwalili każdego i każdy winszował wszystkim i chwalił wszystkich. Często jedna połowa mówiła razem, a druga śmiała się. Czasem dowcip jakiś pobudzał do wesołości całe zgromadzenie.

— No, teraz wszystko już *aus* — odezwał się któryś — Madiary łatwiej swoje ucho, niż Szegiedyn zobaczą...

— Cha!... cha!... cha!.. — odpowiedziano chórem.

— I spokojnie wesele odprawimy !... — powiedział drugi

— Czyje?... — ktoś zapytał.

— A pana Memlauer.

— To niechże dzisiaj będą zaręczyny!... — zawołał inny — takiego dnia, jak dzisiejszy, nie doczekamy się już w życiu i nie zdobędziemy się na takie dla państwa młodych wiwaty!... Słyszycie?...

Biesiadnicy uspokoili się na chwilę. Powietrze huczało, wstrząsane salwami artylerji.

— Prawda!... prawda!... — zawołało kilku — trzeba korzystać z chwili...

— No!... Janku!... — rzekł jeden z najpoważniejszych — Cóż ty na to?

— Nie mam nic przeciwko temu — odparł Janko — i zdaje mi się, że i ojciec mój będzie rad, że zaręczyny siostry mojej zaszczycą się obecnością takich czestnych gości...

Sawa kiwnął głową i łypnął oczyma.

— Obiecałem córkę panu Memlauerowi i wszystko mi jedno, czy ją zaręczyć dziś, czy jutro... — powiedział powoli.

Marijka pół żywa słuchała tej rozmowy.

— Marijko — rzekł Sawa do córki — chodź!...

— Ale gdzie pierścionki?... — zapytał stary.

— Pierścionki!... oto są!... — podchwycił Memlauer, wydobywając safianowe pudeleczo.

— No!... to chodź, Marijko... — powtórzył Sawa niedbale.

Marijka wstała, ujęła się ręką za poręcz stolka, popatrzyła na ojca i brata wzrokiem, w którym i prośba i żal i wstręt się odmalowały, i raptem, jakby przypomniała coś sobie, powiedziała:

— Zaraz, ojcze!... natychmiast przyjdę!...

Wyszła z izby i nie zatrzymując się w sieniach, poszła na ogród i udała się prosto ku miejscu, na którym stał Szandor.

Bohater nasz, ujrzawszy wśród krzaków ogrodowych przesuwającą się postać kobiecą, przypomniał sobie Marijkę i zapomniał zresztą o wszystkim. Postąpił kilka kroków naprzód, wołając półgłosem:

— Marijko!...

Marijka podbiegła i z płaczem rzuciła się mu

w ramiona, otoczyła jedną ręką jego szyję i przycisnęła się piersią do niego.

Z początku za całą rozmowę słyhać było tylko wyrazy:

Lelkem!... galambum!... galambum!... lelkem!... — wymawiane przez Szandora i Marijkę.

Potem Marijka szeptała:

— To nie ty wydałeś Łukę?...

— Nie ja!... nie ja!... — odpowiadał Szandor.

— Ja wiem, że nie ty!... o, wiem!... ty nie mógłbyś tego zrobić!... To ktoś skłamał przed Jankiem...

— Przed Jankiem?... — zapytał Szandor.

— Ach!... przed Jankiem... — odpowiedziała dziewczę — a Janko powiedział ojcu i zażądał, żeby mnie ojciec wydał za Memlaura...

— Za Memlaura!... — zawołał Szandor. — Ha!... to już wiem!... to Memlauer mnie okłamał!...

Marijka ze drżeniem przytuliła się do Szandora.

— Ach!... co ja pocznę nieszczęśliwa!... — szeptała i płakała.

— Cóż!... no!... cóż?... — mówił Szandor, tuląc ją do siebie.

— Memlauer jest tam!... tam!... — i wyciągnęła dziewczyna rękę, ukazując na dom ojcowski — z pierścionkami!... z gośćmi!... jak wrócę, to będzie po mnie!... ach!... ja nieszczęśliwa!...

— Nie płacz!... — pocieszał ją Szandor, któremu włosy najeżyły się, a krew uderzyła do głowy — nie płacz!... chodź!...

I ciągnął ją bezprzymorny, podniósł, wziął na

ręce jak dziecinę i, sam nie wiedząc co robi, począł wsiadać na konia.

— Szandor!... *galambum!*... — szeptało dziewczę.

— Nie płacz, *lelkem*, nie bój się!... — odpowiadał Szandor i wzniosł się w strzemieniu i usiadł na siodle; poprawił się i ruszył...

Marijka otoczyła ramieniem jego szyję; on trzymał ją lewą ręką przed sobą, a prawą wydobył pałasz. Wyjechawszy z ogrodu, skierował konia na plac ku brzegowi Cisy, spiął go ostrogami i puścił czwałem.

Nieopodał od brzegu dały się słyszeć okrzyki:

— *Halt!... wer-da!*

Szandor nie zatrzymał się, tylko z całej siły ścisnął karego ostrogami tak, że ten, zagniony do najwyższej potęgi pędu, sadząc posuwistemi susami, doparł do samej krawędzi wybrzeża i nie zatrzymując się, skoczył z urwistego brzegu do Cisy.

Rozstała się woda z pluskiem ogromnym. Koń, Szandor i Marijka poszli odrazu na dno; lecz natychmiast spłynęli i nad powierzchnią wody wynurzył się łeb koński, a za nim pochylony naprzód Szandor z Marijką na ręku. Marijka konwulsyjnie ścisnęła kochanka za szyję, jej warkocze spływały do wody, a głowa tuliła się na piersi Szandora, który trzymał ją mocno i powtarzał co chwila:

— Nie bój się!...

A piękną była ich podróż; przyświecała jej szeroka łuna pożaru i na pozdrowienie jej grzmiały działa i grzechotał karabinowy ogień. Zamek szwedzki wyrastał olbrzymio zpośród wianka płomieni, na tle których przesuwające się oddziały wojskowe,

w fantastycznych odbijały się kształtach. Kirasyerzy w metalowych kirysach i hełmach wydawali się zdaleka jak rycerze ognioiwi i zamiast maleć, rośli w oddaleniu, a skutkiem optycznego złudzenia nie szli po ziemi, ale płynęli powietrzem. Bagnety piechoty dziwnym świeciły blaskiem, promieniać się smużkami nad głowami ludzkich cieniów. Działa wydawały się jak żywe istoty, ruszające się i ziejące ogniem. Kule jęczały żałościwie, granaty świergotały niby ptaszki uciekające z pożaru, kartacze szumiały jak przenoszące się w ucieczce stada szpaków, karabinowe kulki brzęczały jak osy, a huk wystrzałów zlewał się w jedną jakąś dziką, przerażającą harmonię z łoskotem pożaru, z trzaskiem walących się domów i z jakimś ciągłym zgiełkiem i turkotem, jękiem i piskiem. A jak z otwartego krateru wulkanu, tak z Szegiedynu buchały do góry kłęby dymu i kłęby iskier i wystrzelały płomienie, rzucające na powierzchnię Cisy zło-cisty odblask i oświetlające całkowicie straszliwy obraz zniszczenia, jaki na ciemnym tle nocy rozwinęły, bój i pożoga.

W półświatle tego oświetlenia płynęli Szandor i Marijka. Za nimi był brzeg urwisty, obsadzony nieprzyjacielską wartą, przed nimi trzęsawiska, na prawo ujście Maroszy, obsadzone węgierskim wojskiem. Kary prychał i płynął. Bieg nurtu unosił go na prawo w kierunku ujścia Maroszy. Szandor wolno puścił mu cugle, wypuścił z ręki pałasz, który mu zawisł na temblaku, i obiema rękami ujął Marijkę i trzymał ją tak, aby zasłonić ciałem swoim. Zasłaniał on ją dlatego, że natychmiast po wskoczeniu do wody warta nieprzyjacielska poczęła do niego

strzelać. Z początku huknęła salwa kilkudziesięciu naraz wystrzałów, kulki zagwizdały mu koło uszów i obsypały dokoła powierzchnię Cisy, tonąc w niej z głuchem a krótkim sykaniem. Potem ścigały go pojedyncze strzały. Szandor prostował Marijkę, wygiął nad nią w kabłąk ramiona, głowę jej do piersi swoich przyciskał i ciągle jej kładł w ucho

— Nie bój się!...

Marijka nic nie odpowiadała. Nie straciła ona przytomności, ale ogłuszył ją ten pęd gwałtowny, to skoczenie z urwistego brzegu, to zanurzenie się w wodzie i na koniec ten huk bitwy. Tuliła się ona do kochanka, jej serce biło przy jego sercu, jej ramię otaczało jego szyję; więc napelniał ją jakiś rodzaj niemej a nieograniczonej ufności i nie bała się. Trzymała się go silnie, żeby się z nim nie rozłączyć, i to było całe jej życzenie, cała jej obawa; zresztą, niebezpieczeństwa, jakie jej i jemu groziło, może i nie rozumiała.

Z trzęsawisk, z za grubego pnia wierzby, wyglądał cygan. Z bezpiecznego tego ukrycia, od czasu, w którym pierwszy wystrzał zwiastował początek bitwy, przypatrywał się on obrazowi zniszczenia i często zwracał wzrok ku brzegowi, z którego skoczył Szandor. Długo siedział spokojnie i w milczeniu. Czarne jego oko świeciło w cieniu niby wilcze, błakając się po rozlanej fali płomienia, lub ścigając rozwiewające się kłęby dymu i niknące pod niebem iskry. Ten dziki obraz odbijał się śpiewem w duszy cygana i on z pewnem drżeniem natchnienia, czy zachwyty, patrzył na bój i pożogę, i słuchał

tajemnej harmonii, która pełnemi w jego duszy grała akordami, i pogrążył się całkiem w stan artystycznej kontemplacji. Ze stanu tego wyrwało go nagle pluśnięcie. Cygan zcrwał się, popatrzył na pożąłconą powierzchnię Cisy i ujrzał wynurzających się ponad nią Szandora, Marijkę i łeb karego. Przy oświetleniu pożogi łatwo my było ich rozpoznać. Serce jego zabiło mocnem tętnem, oczy zapłonęły silnym blaskiem, stanął na brzegu i wyciągnął ręce, jakby Szandora, Marijkę i karego chciał zwabić ku sobie.

Oni płynęli, a Austriacy strzelali. Co chwila kula przed, lub za Szandorem, z prawej lub lewej strony plusnęła i syknęła na Cisie i co chwila Szandor uspakajał kochankę wyrazami:

— Nie bój się!... — i osłaniał ją sobą.

Już kary przepłynął środek nurtu rzeki, już coraz bliżej i wyraźniej zarysowywał się brzeg przeciwny, gdy raptem Szandor przestał uspakajać Marijkę. Przycisnął ją mocniej do siebie, ale nie wyrzekł ani słowa. Pochylił nad nią głowę i zacharczał.

— Szandor!... — szepnęła dziewczyna, obejmując silnie ramionami chwiejącego się w siodle kochanka.

Szandor nic jej nie odpowiedział.

Cygan wołał:

— Tu!... tędy!... trzymaj się trochę na lewo, bo na prawo trafisz na Marosz, która cię wepchnie napowrót do Cisy i wyniesie znów na środek!... na lewo!... na lewo!...

Ale Szandor nie odpowiadał cyganowi, a prąd unosił go na prawo. Cygan biegł brzegiem, krzycząc:

— Na lewo!... na Boga!... na lewo!...

Wtem koń prychnął silnie i swobodnie, oznajmując niejako tem prychnięciem, że dostał dna kopytami. Lecz snadź szarpnięty munsztukiem, spał się, piersi i przednie nogi wysadził z wody, jakby chciał z niej wyskoczyć do góry i w tej chwili, przez grzbiet jego, zwałił się na wznak Szandor, trzymając w objęciach Marijkę. Cygan krzyknął przeraźliwie; woda plusnęła, zabelkotała, zaszumiła i na jej powierzchni... czerniał już tylko łeb karego...

W niemem przerażeniu pośliznął się jeszcze wzrok cygana po połyskującej powierzchni Cisy i pobiegł w kierunku jej nurtu. W tem miejscu, gdzie wpada do niej Marosz, łącząc z nią wirowym sposobem wody swoje, coś zaszarzało i, znikło... znów zaszarzało, zakreśliło się i znów znikło... i nie pokazało się więcej...

W parę lat po tym wypadku, po zakończeniu wojny i zupełnem uspokojeniu rozruchów, z miasteczka do miasteczka, ze wsi do wsi na Węgrzech, włóczył się Cygan ze swoją skrzypką i grał. Lud gromadził się i słuchał. Nie grywał on ani czardasza, ani Rakoczego, ale coś takiego, co nie było ani tańcem, ani marszem, i co pobudzało słuchaczy do jakiejś tęsknoty i rozmarzało ich, tembardziej, że muzyk dodawał do grania swego strofy nieznaney przedtem pieśni, opowiadającej, jak huzar-Madiar zginął razem z Serbką-kochanką.

Czasem Cygan, jeżeli słuchacze byli dobrani, opowiadał im to, o czym grał i śpiewał. A że i mnie zdarzyło się słyszeć to opowiadanie, przeto na zakończenie, przyznaję się, że powieść o Szandorze i Marijce nie jest wymysłem mojej własnej głowy, jak to może niejednemu z czytelników wydawaćby się mogło.

K O N I E C .



3163

149534/2



Wypożyczelnia

Nr

Nr inw. w

